

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

J. OZGA-MICHALSKI — O jednej z wielu przygód Jana Iwona.
 A. BŁAGOW — Wiersze tkacza. L. HERDEGEN — Poetycznie.
 H. ZAWORSKA — Wokół „schematyzmu”. A. DRAWICZ — Nieutarte ścieżki miłości.
 B. DUDZIŃSKI — Siła patriotyzmu radzieckiego. M. RANICKI — Dialog o Falladzie.
 A. SKIBA — Podpalacz „domów sąsiada”. J. KOSICKI — O tych, co mieli trudności.
 J. JELONEK — Premia korespondenta GUS-u. K. PAŁYS — Olejarnia w Bodaczuwie.
 W. KODRYŃ — „Wątek miłosny” w nowym życiu.

Rok IX

Warszawa, dn. 13. I. 1952 r.

Nr. 2 (336)

MOSKWA (PAP). Agencja TASS ogłosiła następującą depeszę J. W. Stalina do naczelnego redaktora agencji „Kido”, Kiisi Iwamoto:

Szanowny panie K. Iwamoto! Otrzymałem pańską depeszę z prośbą o przesłanie noworocznego orędzia narodowi japońskiemu.

Wśród działaczy radzieckich nie ma takiej tradycji, by premier obcego państwa zwracał się do narodu innego państwa ze swymi życzeniami. Jednakże głębokie współczucie narodów Związku Radzieckiego dla narodu japońskiego, na który spadły nieszczęścia w związku z obcą okupacją, zmusza mnie do zrobienia wyjątku od reguły i do zadośćuczynienia pańskiej prośbie.

Proszę przekazać narodowi japońskiemu, że życzę mu wolności i szczęścia, że życzę mu całkowitego powodzenia w jego męźnej walce o niezawisłość swej ojczyzny.

Narody Związku Radzieckiego same w przeszłości doświadczyły okropności obcej okupacji, w której brali również udział imperialiści japońscy. To też rozumieją one w pełni cierpienia narodu japońskiego, głęboko współczują mu i wierzą, że zdobędzie odrodzenie i niezawisłość swej ojczyzny, podobnie jak zdobyły to w swoim czasie narody Związku Radzieckiego.

Życzę robotnikom japońskim wyzwolenia od bezrobocia i niskiej płacy roboczej, zniesienia wysokich cen towarów powszechnego użytku i powodzenia w walce o zachowanie pokoju.

Życzę chłopom japońskim wyzwolenia od bezrolności i małorolności, zniesienia wysokich podatków i powodzenia w walce o zachowanie pokoju.

Życzę całemu narodowi japońskiemu i jego inteligencji całkowitego zwycięstwa sił demokratycznych Japonii, ożywienia i rozwoju życia ekonomicznego kraju, rozwoju kultury narodowej, nauki, sztuki oraz powodzenia w walce o zachowanie pokoju.

31 grudnia 1951 r.

Z poważaniem

(— J. STALIN

TADEUSZ ORLEWICZ

Japonia wczoraj i dziś

W roku 1853 w wejścia do portu tokijskiego zarzucił kotwicę „cztery okręty o niedobrym wyglądzie”. Była to eskadra amerykańska. Pod jej sztandarami stały armatki okrętowe porządku Mac Artura i Riagwayów, Dullesów i Dodgeów narzucił Japonii pierwszy traktat handlowy, mając nadzieję, że kraj samurajów i szogunów, kraj średniowiecznego feudalizmu stanie się dogodnym, bezpiecznym i pewnym rynkiem zbytu dla amerykańskich towarów zysku.

Szybki rozwój handlu z zaborcą powołał w Japonii wzrost sił i znaczenia rodującej się miejscowej burżuazji. W roku 1868 kraj przechodził rewolucję burżuazyjną. Nowy porządek rzeczy oparł się na sojuszu burżuazji i awarskich feudalów. Do feudalnego państwa przetrwał kapitalizm Japonii, który się wyżył kapitalistycznym. Władztwo kapitału wywarło wpływ na niewolniczych i feudalnych „arabach pracy i bytowania milionów Japończyków, zachowując te warunki aż po dzień dzisiejszy. Japoński kapitalizm różni się w wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, wyposażone w nowoczesne zdobycze techniki produkcyjnej, w potężne inwestycje energoelektryczne. Z drugiej zaś strony charakteryzują go silniejsze, niż gdzie indziej, przetrzki jorm przedkapitalistycznego wyżyłku i to niekiedy na wsi ale i w szybko rosnących liczących miastach - obrzymach.

Dzieci są sprzedawane do pracy w fabrykach, niespłacony dług pociąga za sobą utratę wolności osobistej, noc jest bardzo krótka dla odpooczynku, dzień pracy coraz dłuższy, a wynagrodzenie najniższe na świecie.

Szybciej, niż w jakimkolwiek innym kraju, kapitalizm w Japonii w konkretnych warunkach wchodzi w stadium swego rozkładu. Imperializm japoński zjawia się na arenie światowej w tym okresie, w którym zakończył się w zasadzie podział świata i rynków światowych pomiędzy główne mocarstwa.

Z feudalnej Japonii wystąpił Wall - Street próbował stworzyć amerykańską kolonię. Nie udało się to im w całej pełni, bo młody, japoński imperializm podjął skuteczną walkę konwencyjną ze swoimi opiekunami, nie tylko na kontynencie azjatyckim i wyspach przybrzeżnych, ale stał się groźnym współnikiem grabieżcy na rynkach światowych.

Napada na wyspy rosyjskie, na Chiny, zabierając im Tawan. W roku 1905 przeprowadza zwycięską wojnę z Rosją carską. Starty się wtedy dwie sily świata wyżyłku i eksploatacji. Schorzał feudalno - kapitalistyczne imperium Mikołaja II skapitulowało. W roku 1910 Korea, kraj Porannej Świeżości, pada pod butem najazdu japońskiego. Nowa wojna przynosi Japonii - nowe bazy w Chinach i ogromne zyski dla dostawców wojennych.

Rok 1918-1922 Młoda władza radziecka toczy ciężkie boje ze zbrojnym najazdem najmitów 14 państw kapitalistycznych. Na Syberii atakują ją japoński imperializm, niosąc pozogę, śmierć i tortury dla robotników i chłopów syberyjskich. Jest już wtedy na tyłach japońskich Arthur Mac Arthur, późniejszy „wielki szogun” i „bohater” z Korei. Ale i on i jego japońscy przyjaciele znacznie szybciej musieli uciekać z Syberii, niż do niej doszli.

I znowu rok 1931 - początek paroletniej zbrojnej grabieży wielkiej części Chin. Rok 1938 i rok 1939 - nieudana próba ataku zbrojnego na

Kraj Rad, raz w okolicach Władywostoku, drugi raz - od granic Mongolskiej Republiki Ludowej.

Japońska klasa robotnicza żyła tymczasem w coraz potworniejszych warunkach, chłopstwo uginęło się pod ciężarem wyżyłku feudalnego, sprzymierzonego w grabieżcy z kapitałem finansowym. Rynek wewnętrzny siał się kurczyć w swojej sile nabywczej. I tak to niezwykle niska taność sily roboczej i niezwykle niska stopa życiowa klasy robotniczej, będąca główną siłą japońskiego imperializmu w walce o jego rynki, stały się równocześnie jego słabością. Wyjście z sytuacji imperializm japoński widział jedynie w nowych podbojach, stąd montaż drażniący osi Berlin - Rzym - Tokio, obłądne sny o nowym podziale świata.

Na polach bitewnych w r. 1945 Armia Radziecka zrużogala armię kwanitwiską, rdzeń sily militarnej, japońskiego imperializmu. Japonia skapitulowała, Azja odetchnęła.

„Ameryce potrzeba wiernego i zle-go psa, który by ujadł nad zatoką tokijską” - powiadają panowie z Wall - Street. Nie rezygnuje więc USA z Japonii, jako żandarma Azji, (jako głównej swojej bazy wypadowej na Pacyfiku przeciwko ruchom narodowo - wyzwoleńczym Azji, przeciwko wielkiemu Związkowi Radzieckiemu. Od chwili, gdy Mac Arthur, stary „przyjaciel” japońskich grabieżców wyładował w Tokio, nie było co do tego wątpliwości. San Francisco postawiło kropkę nad „i”. Zlamane zostały przez amerykańskich najazdźców wszelkie umowy międzynarodowe, w niwecz zostały obrócone, uroczyste nigdy zagwarantowane, prawa narodu japońskiego do wolności i pokoju.

Rok za rokiem najpierw Mac Arthur, a później Ridgway odradzają w tym kraju wszystkie sily agresji i wstecznicstwa, restaurują potęgę przemysłu zbrojeniowego Japonii, ugruntujując równocześnie i przede wszystkim sferę przemysłowych wpływów gospodarczych i politycznych USA.

Koncerny pozostały japońskimi, ale ściśną kontrolę nad nimi objęły nowojorskie banki. Japonia znowu przekształciła się w obóz przygotowany do nowej zawieruchy wojennej. Układ w San Francisco stał się wyprzedzają Japonii, bezwarunkową i bezapelacyjną jej kapitulacją na rzecz USA.

I znowu wrócił do żerowisk japońscy przestępcy wojenni, do żerowisk, okrojonych przez żarłoczne wilki z nad Potomaku. Znowu dymią zbrojeniowe fabryki japońskie, nowu pracują japońskie stocznie. Cały przemysł jest nastawiony na produkcję według dyktatu USA.

Koncerny japońskie, usłużnie oddając ogromną część swych dochodów Morganom czy Rockefellerom, pragną jednak zachować dla siebie również poważne jak i przed tym zyski. Ten zdwojony wyżyłk wali się całym swym ciężarem na barki klasy robotniczej i pracującego chłopstwa. Dlatego Amerykanie, maniuujący się oredownikami kultury i cywilizacji, zachowali w Japonii nie tylko imperialistyczne formy wyżyłku, ale również warunki pracy i bytu z XVI wieku, feudalne i niewolnicze.

Niezwykle niska była płaca robocza w Japonii przed wojną. Działają, po 6-ciu latach rządów USA sily nabywca robotnika japońskiego stanowią zaledwie 50 proc. tej głodowej stawki. 10 milionów bezrobotnych li-

(Dokończenie na str. 7)

Obywatelu!

Wykonaliśmy pomyślnie i z nadwyżką zadania pierwszych 2-ch lat naszego wielkiego i historycznego Planu 6-letniego - planu uprzemysłowienia Polski. Wstępujemy w rok trzeci, który będzie rokiem przełomowym dla zwycięskiego wypełnienia całego planu. Z jeszcze większą więc ofiarnością oddawajmy ojczyźnie swą pracę, pomnażając jej sily!

Szczegółowej wagi nabiera w tym okresie zadanie zwiększenia naszej produkcji rolnej. Jej wzrost pozostaje dotąd znacznie w tyle za wzrostem produkcji przemysłu. Stwarza to trudności dla całego naszego życia gospodarczego i wymaga mobilizacji wszystkich naszych sił dla podciągnięcia naprzód rolnictwa. Poważne zwiększenie produkcji rolnej możemy osiągnąć przez lepsze wykorzystanie ziemi i bardziej racjonalną jej uprawę, przez obfitsze nawożenie, selekcję nasion, właściwy plodozmian, walkę z chwastami i szkodnikami roślin, przez głębsze stosowanie w praktyce nowoczesnej wiedzy rolniczej, przede wszystkim zaś przez unowocześnienie gospodarki w rolnictwie, przez szerszy rozwój spółdzielni produkcyjnych. Możemy osiągnąć poważne podniesienie plonów i hodowli w naszym rolnictwie - mamy wszystkie ku temu warunki. Musimy wzmocnić zaopatrzenie rolnictwa w maszyny, traktory, w sprzęt rolniczy, w nawozy sztuczne. Z większą niż dotąd energią win-

niśmy dopomagać wsi w upowszechnianiu wiedzy rolniczej, w rozwijaniu spółdzielczych form gospodarowania, w wykorzystaniu doświadczeń produkcyjnych rolników polskich, którzy uzyskali już dzięki zespolowej pracy znaczne zwiększenie plonów.

Bracia Chłopi!

Osiągnięcie przełomu we wroście produkcji rolnej i w rozwoju hodowli od Was przede wszystkim zależy. Poglębiajcie swą wiedzę rolniczą - państwo ludowe okaże Wam w tej dziedzinie wszechstronną pomoc. Organizujcie się i jednocześnie, aby wykorzystać na swych polach nowoczesne maszyny rolnicze - pomagajcie Wam w tym państwowe ośrodki maszynowe! Już dziś czynicie energiczne przygotowania do wiosennego siewu. Zbiorowym wysiłkiem i gromadzką pomocą wykorzystajcie wszelkie odłogi. Walczcie ze spekulacyjnymi tendencjami kułactwa Pomagajcie państwu ludowemu w zaopatrzeniu ludności miast w produkty rolne, a wsi w towary przemysłowe. Zabezpieczajcie terminowe wykonanie obowiązkowych dostaw.

W dniu noworocznym cały naród wyraża gorące uznanie i podziękę wszystkim braciom chłopom, którzy wykonali w terminie swe obowiązki względem państwa, przyczyniając się w ten sposób do wzrostu sił naszej Ojczyzny!

STANISŁAW CIEŚLAK

CHŁOPI PISZĄ...

Nowe zadania, jakie stanęły przed nami w roku 1952, decydującym i właśnie dlatego trudnym, trzecim roku naszej sześciolatki, żywo przez każdego świadomego obywatela odczuwana potrzeba przewyciężenia dokuczliwych braków w zaopatrzeniu, które włączyć się za nami z poprzedniego, kapitalistycznego jeszcze okresu naszych dziejów, nabrały na ostrości w drugim półroczu 1951 roku - wszystko to wywołało nową, rosnącą falę głosów, polemik i wypowiedzi terenowych.

Zaczynają się, co ciekawsze, odzywać i ci, którzy dotychczas milczeli, a dziś już nie mogą milczeć, pragnąc podzielić się z innymi swymi osiągnięciami, trudnościami i projektami. Ten fakt ma swą głęboką wymowę polityczną, świadczy bowiem bardziej przekonująco od wszelkich statystyk o rosnącej aktywności i współodpowiedzialności mas ludowych, o podniesieniu się ich kultury, rozumianej w jej najgłębszym sensie, jako umiejętności rządzenia państwem. Dowodzi on stalego, burzliwego wzrostu szeregów świadomych budowniczych podstaw nowego ustroju w Polsce.

Uważny czytelnik, a zwłaszcza nasz czytelnik, a więc gminny i powiatowy działacz terenowy, łaknący wiedzy i szukający każdej okazji, aby uzupełnić i wzbogacić swe doświadczenia, ulepszyć metody, sposoby i styl swej pracy - znajdzie w tych wypowiedziach (zajmujących w tym numerze kolumnę naszego pisma), ciekawy materiał do przemyśleń.

Wystąpiły bowiem w tych głosach, jak na dloni, kluczowe problemy i trudności naszego rozwoju ku socjalizmowi, zarysowały się jasno już zdobyte pozycje, wymagające utrwalenia, odsłoniły się w całej swej okazałości nie tylko osiągnięcia mas chłopskich, ale i wszystkie błędy i niedostaki naszej pracy terenowej. Kilka słów o autorach. Są to wszystko chłopci i chłopki, przeważnie średniorolni (choć nie brak i małorolnych), którzy wyróżnili się zaszczytnie w jesiennej akcji skupu zboża i ziemiaków, wykonując w terminie często ponad plan, postanowienie państwowego planu gospodarczego na rok 1951, odnoszące się do wsi i rolnictwa, a dziś chwyliły za pióro, aby podzielić się z nami swymi doświadczeniami, produktami, swymi osiągnięciami, bólczkami i radami.

Wypowiedzi te są i podobne do siebie i jakże równocześnie bardzo różne. Podobne dlatego, że jednakże było doświadczenie życiowe w ogromnej większości biedoty chłopskiej w czasach Polski przedwojennej, jednak w nich narosła gorzka a jakżeż żywa pamięć dawnego ucisku i nędzy, nadmiernej pracy, niepewności jutra, lęku o przyszłość dzieci, tułaczki po obcych krajach za chlebem i pracą, ostrego a niezaspokojonego przed wojną głodu wiedzy, kultury, kwalifikacji zawodowych, możliwości awansu społecznego.

Podobne w tym, co chłopci pracujący (a zwłaszcza biedota wiejska) wiele uzyskali w Polsce Ludowej od dyktatury proletariatu dzięki reformie rolnej, nacjonalizacji i rozbudowie przemysłu, który dał warsztaty pracy milionom bezrobotnych i półbezrobotnych, ułatwił i zabezpieczył przed zamachami ze strony obszarników i kułaków, chłopski stan posiadania, otwierał chłopom pracującym szeroko dostęp na rynek wewnętrzny, o ustabilizowanych, opialnych cenach, niepo-

równywalnie w stosunku do przed wojny, zwiększając zaopatrzenie wsi nie tylko w artykuły konsumpcyjne, ale co ważniejsze w środki produkcji, przez co przed masami chłopskimi otworzyły się po raz pierwszy w ich dziejach możliwości stałego szybkiego, nieograniczonego wzrostu produkcji rolnej, a więc i możliwości wszechstronnego rozwoju ich dobrobytu i kultury.

Różne są te wypowiedzi ze względu na różny stopień rozwoju świadomości naszych korespondentów, uwarunkowany specyficznymi (w ramach typowej drogi biedoty) kolejami życiowymi, każdego z tych piszących chłopów, wpływem codziennego środowiska, bliskością lub oddaleniem od produkującej klasy robotniczej, stopniem świadomości klasowej, wiedzy, kultury itp.

Ludowej nie ma prawa ograbiąć chłopca z owoców jego pracy, pozwala rolnikowi skupić całą swą uwagę na podnoszenie własnych kwalifikacji zawodowych („trzeba pracować na roli, nie tylko rękami, ale i głową” - mówi ob. Józef Rogowski), nad tym jak więcej wydobyć z ziemi i z inwentarza żywego, jak lepiej wykorzystać wszechstronną pomoc władzy ludowej, a zwalnia nareszcie rolnika od tak charakterystycznej dla okresu przedwojennego bezustannej troski, o to, co kiedy i komu sprzedać, aby wyjść na swoje i nie stracić.

Coraz więcej chłopów zdaje sobie jednak sprawę, że cała ich osobista praca wiąże się jak najściślej

całej gromady, gminy, powiatu, kraju.

„Nie wystarczy samemu się wywiązać - pisze ob. Pluta Z. - i dlatego u nas w gromadzie prowadziliśmy zorganizowaną agitację”, a wielu z dumą podkreśla, że nie tylko oni wywiązali się ze swych obowiązków w terminie, ale i inni, że cała ich gromada, gmina, powiat produkuje w całej akcji, a nie znajduje się w tyle.

Wprawdzie, zdarzają się jeszcze głosy domagające się nie zawsze uzasadnionych indywidualnych ulg i przywilejów; ale gorują nad nimi takie wypowiedzi, jak ob. Anastazji Ficek, że „doraźna pomoc nie da biedniejszemu. Trzeba poprawić dotę wszystkich, podnieść ogólny dobrobyt”, zwycięża przekonanie o celowości i słuszności jedynie społecznej dorabiania się, zamiast łapczywego, często kosztem innych, forsownego dorabiania się tylko na swoim, „razem przeleć budujemy my chłopci i robotnicy Polskę Ludową” jak pisze ob. Zygmunt Pluta.

To narastające zrozumienie potrzeby społecznej, a nie tylko indywidualnego, wywiązywania się z obowiązków i dorabiania się przez dochodzi stopniowo pod wpływem zapoznawania się z osiągnięciami rolnictwa radzieckiego („w latach 1942 - 1945 przeżywałem na terenach Związku Radzieckiego i miałem możliwość spotykać się z rolnikami radzieckimi, którzy chętnie i cierpliwie zapoznali ze swymi sposobami pracy na roli i ze swoimi osiągnięciami. Te metody poznane w ZSRR stosuję dziś w swojej gospodarce” - pisze ob. Konrad Muszarski), dalej zapoznania się z dorobkiem i osiągnięciami PGR i spółdzielni produkcyjnych („wzoruję się na doświadczeniach PGR i spółdzielni produkcyjnych” pisze ob. Władysław Wojtowicz) prowadzi do przekonania, że „jednak, moim zdaniem - jak pisze ob. Muszarski K. lepiej by było, żeby przejść z gospodarki drobnej na zespolową, bo wtedy my chłopci będziemy mieć jeszcze większe osiągnięcia i w zupełności zaspokoiemy potrzeby świata pracy”.

„Do prac w polu podchodzić zawsze planowo” - pisze obywatel Jan Tuske. „kontraktację zbóż nazwałbym gwarancją urodzaju” - odzywa się ob. Józefa Wierna, „trzeba pracować rozłożenie, aby wszystko było w terminie, a czas” - piszą ob. Józef Pałak i ob. Stanisław Cubala, „zasiałem oziminy, wyorałem i nawożem pod jare, spodziewam się dobrego urodzaju” pisze inny, „stosuję się pilnie do zarządzeń władz rolniczych, wskazówek instruktora rolnego, planu gminnej rady narodowej i dobrze na tym wychodzę” - donosi ob. Zygmunt Pluta. Widać, że plan państwowy staje się w ten sposób coraz powszechniejszą regulacją działania i metodą zdobywania wysokich urodzajów nie tylko w uspołecznionych, ale także i w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich.

Stanisław Cieślak



Foto WAŚ

Najbardziej znamienną cechą tych wszystkich wypowiedzi jest bicia w oczy pewność lepszego jutra. A piszą to przecież chłopci, którzy dobrze pamiętają przedwojenny kryzys agrarny, okresy katastrofalnego spadku globalnej i towarowej produkcji rolnej gospodarstw chłopskich, stalego zmniejszania się sily nabywczej wsi. Piszą to chłopci, którzy dobrze pamiętają te lata, w których nawet urodzaj, wskutek znowu kapitalistycznych pośredników handlowych, zainteresowanych w znizcenie cen plodów rolnych, zamieniał się dla drobnego i średniego rolnika w żywiołową po prostu klęskę.

Ta pewność lepszego jutra, to jeden z najbardziej wymownych dowodów uznania dla władzy ludowej, zaufania do polityki partii i rządu, wdzięczności dla klasy robotniczej, a tym wymowniejszy i bardziej szczerzy, gdy wypowiedziany jest w okresie niewątpliwych i nie ukrywanych wcale przez korespondentów trudności rozwojowych rolnictwa. „Teraz mam jeszcze duże trudności” - pisze ob. Stanisław Ryzek - ale postanowiłem sobie, że na przyszły rok postaram się zwiększyć wydajność całej mojej gospodarki”, „upadłem w roku zeszłym ze świniami” - pisze drugi, a już zaopatrzył się znowu w dwie maciory i sześć prosiąt i z powiększenia hodowli nie rezygnuje.

To przekonanie bijące z tych wypowiedzi, że nikt już dziś w Polsce

JÓZEF OZGA MICHALSKI

O JEDNEJ Z WIELU PRZYGÓD JANA IWONA

Kościółek stał na wzgórku. Księżyc oświetlał blaszany dach. Od granatowego nieba odrywały się jak ze struchlałej powłoki sęcki palących się gwiazd, śmigając razno ku ziemi.

Może to jedna z nich pacnęła w dach kościoła, a może sowa uderzyła kocim łbem w okno kaplicy, doś, że Jan Iwon oknął się z drzemki.

— Tfu! U diabła, czyżby sen?

Ale nie, nad jego głową zwiłała chorągiew kościelna. Dłoń namacała rzeźbioną krawędź kolatorskiej ławy, dźelo jego stolarskich rąk. Nieco dalej stoją dwa nowitkie rzeżane z lipy konfesjonały. Ileż grzechów wysypano w tej przepaści bez dna; on sam dwukrotnie odkręcał tu kurek swojego sumienia, a teraz siedzi w ławie przez siebie stworzonej.

Kto, u diabła, pokierował jego krokami do kościoła i usadził do nocnej drzemki? Przymrużył oczy, starając się wymknąć myślą za kościelny mur. Ale na próżno. Nosem wdycha bez przerwy spleśniałe powietrze, dawno nieodwieszane kadzidłem, zapach przygaszonych świec unosi się wokół niego, plecie, łokcie a przede wszystkim siedzenie mówi wyraźnie — „urządziłeś w kościelnej ławie!”

Ile to lat minęło od czasu, gdy on, Iwon, pięćdziesięcioletni teraz chłop, ożeniony z Walentyną Ambroz, uczył się katechizmu na cmentarnym podwórku, zarosłym bujną trawą.

Ile to lat minęło od czasu, gdy skłecił pierwsze łóżko, wzięwszy w posagu za żonę jeden pokos łąki, piłę, dłuto i hebel. Pierzyny nawet nie miał...

Tak, to nie jest zwyczajna koza gminna, do której pakował go za złe przewinienia miejscowy komendant. Wtedy szybko przychodził do siebie. Głową wsadzał w maleńkie okienko, wypadające ze spróchniałych ram i wołał:

— Walentyno, nocuję dziś w kościele, pójdź do komendanta po klucz, jeśli chcesz, abym ci drewn narząbał...

Zwykle bywało tak, że Walentyna zła i prosiła pana komendanta, Karasia, aby stolarza, Iwona, potrzymać dłużej.

Wiadomo, że do kozy wsadzono Iwona za to, że nie trafił do domu. Ale za co wsadzono go do kościoła, w którym włosy jeżą się na głowie, przez ciało przebiegają dreszcze, serce puka inaczej niż zwykle, a głowa zmuszona jest wymyślać różne cuda, do których nie przywykła? A zwolnić się od myślenia niepodobna...

Iwon zastanawia się długo i spogląda na chorągiew z wyszytym na niej świętym Izydorem.

— Aha, pamiętam, jak dziewczęta wyszywały ten wyblakły już dziś wizerunek świętego, a ja rzeźbiłem drzewce. Ukłepałem przy tej robocie Hanke Samborową, aż miło... Czyżby należało bać się tej chorągwi?

Spogląda po ławach, chorągwiach, obrazach i rzeźbach, które tysiącom oczu wydają się inne w dzień, niż teraz jemu wśród nocy. Powoli zaczyna panować nad inwentarzem kościelnych sprzętów, z którymi tylekroć miał styczność w różnych porach swojego życia.

— Swoją drogą, ubożuchna jest nasza gminna koza, człowiek prześpi się w niej jak w stajence — trzeba ją będzie urozmaicić...

Iwon stąpa ostrożnie po kamiennej posadzce, rękami dotyka zimnych ścian i kieruje się w stronę drzwi.

— Przecie chłopci ten kościół murowali i obrazy kupiliśmy za swoje grosze i organy za złotą pszeniczkę i dzwony za siwe woły, a czy dach blaszany spadł z nieba? Moja siekiera ociosowała płatwy i krokwie... z mojej głowy wystrzeliła wleczka, nasadzona na kościelne sklepienie, a krzyż na wieży został ukuty ze starej wyjeżdżonej obręczy, zdjętej ze złamanego koła przyjeźdźnych handlarzy. Zostawili to koło u mnie w sieni, a teraz pewnie bliższy w ławicy żelazo.

Sami budujemy różne dziwne i sami się ich boimy — ot co!

Stanął Iwon na sklepieniu podziemnej piwnicy. Znowu coś go pod sercem łaskocze.

Leżą w lochach porzucone owoce historii; panowie szlachta bez koniuszów i bez szabel, własną nawet nieokrytą skórą, gotymi świecą kości. Obo jak człek wylądował, gdy się go nie okrywa zieloną murawą. Na ścianie jest wmurowana tablica z napisem, który Iwon odtwarza teraz w pamięci:

„Tu leży Anna Karska z Podlódowskich z domu, która przez całe życie nie dała nikomu tylko Dominikanom trzy wsie i dwa miasta, niech w spokoju spoczywa cnotliwa n. ewiasta!”

Wśród tych trzech wsi oddanych niedyś zakonnikom była i wieś Beline, przekazana razem z przodkiem Iwona w wieczyste posiadanie duchownym ojcom. Tablica wmurowana w kościele była więc nie tyle wdzięcznym wspomnieniem okazanym zmarłej babie, ile hipoteczny zapisem przechowywanym w bezpiecznym miejscu, gdzie ani ogień, ani woda, ani przewrotność ludzka nie zdoła wymazać liter tuszego testamentu.

— Użył sobie ojcowie, duchowni, mając w fundamentach kościelnych takie tablice, nas do roboty w polu a w miastach kupców, garnarzy, snycerzy, krawców i stolarzy; a wręcz urzędników i lapowników, daj Boże zdrowie do tego interesu... tak myśli Iwon — posuwając się ku drzwiom i coraz śmielej toruje sobie drogę w otaczających go ciemnościach.

Gdy te nowe, po raz pierwszy w życiu zjawiające się we łbie myśli



i fantastyczne obrazy oblegają jego mózg, Iwon, można rzec pokrywając przed samym sobą, rozgrzyba jednym zębem swój węzełek gordyjski. — „Skąd się tu wzięłam? Przecie musiałem tu przyjść dobrowolnie. Jaki diabeł zapędził mnie do ołtarza wśród nocy i zamknął na cztery spusty? Czyżby proboszcz, a może organista, któremu obiecałem stołowy kredens, a zmałstrowałem szafarnię na krupki. Zadał mi teraz bobu!”

Jan Iwon smętnie zwiślwszy głowę siedzi w stronę ołtarza, aby położyć się krzyżem na dywanie i położyć do rana, zawsze to pozycja

wygodna i kościelny, gdy rozewrze wrota ujrzy pokutującego czelaka.

Gdy Iwon kładł się na dywanie ręka jego napotkała związane w pęk narcyzy. Znany mu zapach kwiatów zerwany z rana w ogródku uderzył w nozdrza i razem z tym wytrysła w umyśle upragniona odpowiedź na dręczące pytania.

Przecie to dzisiaj wesele jego bratanicy, a on gólnawszy pół litra, jak każde obyczaj chrześcijański ojcw i wujów w jednej osobie przyszedł z bukietem na ślub, aby go wręczyć tej dzierlatce, która fika teraz nożkami, gdy on zabiera się do leczenia krzyżem...

— Niech to diabli! — teraz dopiero zaklął s'arczyście na cały kościół Jan Iwon, nie zając swojego ochryplego głosu, teraz dopiero oprzytomniał i nabrał pewności siebie, myśl o bezczynnym leżeniu i pokucie wydała mu się tak śmieszna, że wstał bez ceremonii, jakby wstał z własnego łóżka i już bez pobóznego westchnienia ruszył ku wyjściu.

Idąc, namacał tęgi żelazny lichtarz i wywijając nim jak cepem zamierzył się w drzwi.

— „Już ja sobie z nimi poradzę!” Uderzył raz, drugi, trzeci, lecz nie na jego sily były dębowe, kute drzwi. Trzeszczały wprawdzie rozklekotanym zamkiem, a każde lupnięcie lichtarza w dębowe deski rozlegało się ciężkimi grzmotami po kościele i wybiegało na zewnątrz.

Najpierw oknął się plebański brytan i raz po raz odpowiedział głośnym szczeniściem na hałas wszczęty w kościele. Również i ksiądz Krawczyński, który miewał lekki sen szybko poderwał się na nogi i cichaczem przekroczył próg plebanijki.

— Co za licho turkoce się po dachu? — ksiądz zadarł głowę — ale nie, na dachu nie ma żywej duszy, ani kotów, które bywało nieraz uprawiały miłosne igrzyska, ani so-

wy, „ani żadnej rzeczy, która Jego jest!”

Ksiądz Krawczyński był człowiekiem nielekliwym, ale ostrożnym, zawiłych spraw nie lubił rozplątywać, niemniej wypadło mu często borykać się z ludzkim występkiem, lecz z tym dawał sobie radę.

Dla wielu na przykład pozostanie tajemnicą, dlaczego wraz z przybyciem Krawczyńskiego do parafii i rozrosły się do niebawomych granic ogrody. Jablonie, grusze i śliwy rok w rok poszerzały swoje królestwo, zagarniając coraz nowe hektary gruntu pod uprawę słodkiego owocu.

A przecież była to zasługa księdza Krawczyńskiego, który, jeśli już zdradził jego sekret, za każdy słodki grzeszek popełniony przez parafianina z parafianką nakazywał sadzić winowajcy cztery jablonie, dwie grusze i jedną śliwę węgierkę.

— A gdyby dama... damachę, księżkę?

— Żadną damachę, szlachetną węgierkę sadź! Pójdźesz do ogrodnika, masz tu adres i u niego sobie zamówisz drzewka...

W ciągu piętnastu lat tak wiele nagrzeszono w parafii, że wszystkie pagórki i wadyły, wszystkie słoneczne stoki zajęto pod owe ogrody.

Kto by pomyślał, kto by uwierzył, a jednak drzewa rosły, ludzie sadzili je dalej i nie myśleli rezygnować ze słodkich grzechów. Sądząc po uczynkach, nie był proboszcz Krawczyński najgorszym księżyą. Skrzyżował wiarę z życiem, a ono jakoś tam szło.

Tymczasem Iwon po krótkim odświeżeniu podwoił wściekle uderzenia w dębowe drzwi, Proboszcz zbliżył się tedy na tyle do kościelnych murów, że coraz mniej pojmował z tego, co mogło stać się przyczyną piekielnego wprost huk, wstrząsającego świętym miejscem. Smiał podejść bliżej i zatrzymując się

z dala medytował nad przyczyną niebawomego hałasu.

Podrapał w końcu do wlkarego Ryby — we dwóch będzle różnie!

Młody ksiądz Ryba nie spał jeszcze, przed chwilą wrócił od nauczycielskiej, do której biegał od czasu do czasu z kierownikiem szkoły.

Proboszcz zastukał w okno.

— Drogi koleżko! Wstawaj, jeśli w Boga wierzysz! W kościele cuda się dzieją!

Wikary zerwał się z łóżka, wdział sutannę i wybiegł szybko, jak do pożaru.

— Ostrożnie, ostrożnie, kochasiu — słyszysz to trzęsienie?

— Trzęsienie, ksiądz powiada, ale nie z'emi?

— Daleko, daleko do tego. Kościół się tylko trzęsie, lecz od czego — nie wiem. Pójdźesz tam, zbadasz, ja tu w razie czego będę czekał...



— Ba! — sapnął wikary — jakże zwącham, co to takiego? Huczy jak we mlynie, a przy tym drzwi się wprost ruszają! Jakby coś chciało się z naszego kościoła wydostać...

Tu wikary cofnął się dwa kroki, choć wdział, że proboszcz zgani go za brak odwagi.

— A możemy po organistę skoczyć, co? Osoba nam bliska, na pół duchowna prawie!...

Proboszcz zezwolił na sprowadzenie organisty. Po jakimś czasie w trójce podchodzili do drzwi, trwożnie rozglądając się na boki.

Organista Kolasa nadymał bez przerwy bruch, żeby powstrzymać czkawkę, która przypiętała mu się z zma albo ze strachu, a może jedno i drugie przyczyniło się do męczącej gardio szczykuty.

— Czego pan tak pokichuje, czy pan żoły dostał, czy też na weselu tak sobie dogodził? Ciszej na Boga organisto, przestań kwikować, bo wygląda na uragilne zachowanie w okolicznościach, które nie znoszą absolutnie wybrków ludzkiej natury...

W tym momencie kichnął wikary, a tak mocno, że był to po prostu etrzał, oddany z samego serca w niedokończony moral proboszcza, któremu odjęło mowę.

Wrz ustalo natarczywe kołatanie do drzwi, ucieli proboszcz, wikary i organista, choć ten ostatni nie mógł opanować żadnym sposobem dręczącej go czkawki.

Lecz oto wśród ciszy nocnej ozwała się taka sama czkawka za drzwiami kościoła. Zdawało się, że organista nawiązał ze straszliwym rozmową.

— Tfu! U Boga Ojca — jęknął proboszcz Krawczyński.

— Wycofajmy się do tyłu.

Znowu stanęli przy laweczce pod klonem i szepem naradzali się, co czynić.

Suchy wiatr zaciągał od łąk i rozżarzył gwiazdy do białosci. Księżyc tryskał potokami srebrzystego światła, które płynęło z niego jak woda z czystego źródła, zimna i przejrzysta.

Na olbrzymich przestrzeniach nieba panował całkowity porządek, cała ta karuzela gwiazd, planet i innych ciał niebieskich krążyła lekko i swobodnie, zachowując przyzwyczajoną odległość od z'emi.

— A może te drzwi rozeszły się na upale i zwyczajnie trzeszcza — rzekł basem organista — co?

— Rozeszły? — krzyknął Krawczyński — do żony mu pilno, więc się drzwi rozeszły. Niech was kaci porwą z taką odwagą. Drygaj organisto po kościelny, niech klucze zabiera ze sobą, a ty księżę Rybo przytniesz kropidło i wodę święconą, żywo!

Proboszcz pogryzł się teraz w rozmyślanie; cóż to za dziwny spłot prawdy i baśni? Dawniej trafiały się różne nie do wiary cuda, ale bywały one pozytywne i przyjemne dla człowieka, nieczym rozrywka podczas urlopu nad morzem. Oto na przykład szedł sobie taki święty Skotyn piechota przez falujące przybrzeżne wody oceanu i spotkał okret, który wioził biskupa Bariusza; ów, gdy rozpoznał świętego Skotynę zapytał, jakże on tak potrafi chodzić po morzu? Skotyn odrzekł, że pod stopami ma łąkę rozkwitła konwalia, a nie morze wypełnione rybami. Wyciągnął rękę ku wodzie i zerwał pęk pachnących kwiatów, rzucając je na dowód bi-

skupowi na kolana. Biskup, aby podtrzymał swój autorytet wyciągnął olbrzymią rybę z wody i posłał ją Skotynowi do kosza. Tak uczciwszy nawzajem swoją świętość i apetyty rozstali się wśród pięknej pogody i wrócili do swoich klasztorów.

Oto są przyzwolite cuda! — dumął proboszcz. — Spałbym pod puchową pierzyną i oglądałbym świętego Skotynę, spacerującego po morzu. Po takim śnie człowiek jest zdrow i wesoły, ma lekką myśl i lekki krok.

Pierwszy wrócił organista, wlokąc za sobą kościelny Ignac. Chłop sprytnie rozglądał się dookoła i szybkim, drobny krokiem podążał za długonogim organistą.

— Jesteśmy księżę...

— Aha! Poczekajcie bracia, zaraz będzie woda i kropidło.

— Proszę księdza — rzekł Ignacy, kościelny — mnie się nie widzi, żeby tam jakiś duch był przykmięty. Duch ni mo sily, a to fluce, to jest złodziej, a o złodzieja nie trudno. Łaskomy jest na srebro, na złoto, na monstrancję, na nowe kapy, a nawet świece buchnie.

— Nie łyż, no kochanku! Co ci do głowy przyszło?

Ale Ignacy kościelny stał twardo na swoim.

— Ij... co tu zmyślać, przecie ta księdza nieboszczyka Pękalskiego już raz kościół okradli. Jaki był wienec ruch! Ho, ho! I policjo i chłopy i baby z pogrzebacami, z kłonicami, Samborów Antek przylecieli z żelozkiem do prasowania, bo to było w niedziele nad ranem, w zimie, spodnie sobie prasował, a węgle z tego żelazka, to sie złodziejowi na łbie rozspalyły. W dzwony dzwoniłem, co ino sił...

Ksiądz Krawczyński usiadł bezradnie pod klonem. Masz ci los!

— Niech proboszcz zlezie z ławy, zdra nom w dzwony uderzyć!

— Czy aby nie kpisz, bisurmanie?

— Co znowu, to poważna rzecz... — Jeden złodziej tu nie przyszed, musi kilku być. — Niech organista leci po policjo, a my podzwa do dzwonnicy... bo i sama policjo nie do rady, trza ludzi pobudzić, niech każdy wie, że kościół okradziony, zrepta ludzie, by mieli pretensje ze my ich nie zbudzili, gdy takie rzeczy się dziejo...

Organista nawet nie spojrzal na proboszcza i nie pytał już o pozwolenie, otulił się w swoje kuse palto i pędem puścił się w dół, w s'rone gminnego budynku, w którym miesiąc się posterunek.

Proboszcz popatrzył z wyrzutem na półduchowną osobę pędzącą na przelaj przez ogrody, nieczym kłusujący koń. Sam nie postuchał kościelnego, który ciągnął go do dzwonnicy. Śiadł pod klonem, którego gąłże gesto upierzone lićmi wesoło szumiały na wietrze. Prawie ciepły wietrzyk czerwcowy powiał od południa i klon poruszył się jak ptak stojący na jednej nodze, gotowy do dalekiego lotu. Konary przżyły się, jakby poruszały nimi czyste żywe mięśnie unoszące to ku górze, to w dół, potężne zielone skrzydła. Lecz proboszcz nie słyszał szumu wiatru, nie czuł ciepleszej fali powietrza, uderzającego z południa od sosnowych borów, nie rozróżnił wielojezyznego szelstu liści, choć cały był zamieniony w słuch. Czekal, aż uderzą w dzwony.

Na ścieżce ukazał się wikary z gospodynią, (którą trzeba było obudzić, aby znaleźć kropidło). Wtedy kościelny porzucił proboszcza i popędził na spotkanie tych dwojga.

— Złodzieje w kościele — krzyknął im w twarz — za mną, na dzwonnice, bić w dzwony!

Kropidło i saganek znalazły się na ziemi. Proboszcz wdział jak wikary, porzucił z lekkim sercem te, tak ważne, naczynia duchowne i co więcej, jak bez słowa poddał się pod komendę kościelnego. Natomiast gospodyni, która bez krepacji wbiegła do domu w długiej białej koszuli, zamiast doręczyć proboszczowi świete instrumenta, wydała ze siebie pisk podobny temu, który zdarza się puszczając kurze. Wiadomo, że kury pieją w wyjątkowych sytuacjach, lecz i tę, w której znalazła się gospodyni, któz zaliczy do zwykłych. Odwróciwszy tyły w stronę proboszcza a pierś ku plebanii rozstała się ze swoim przelozonym w tym przekonaniu, że nieraz jeszcze będzie mogła się z nim spotkać...

— W dzień każdy chucha, dmycha, przeprasza, dobrodziejuje, w rękę caluje, niech będzie pochwalony... a teraz masz! Szast-prast i nie ma! Omal tyłka nie wypinają na pożeganie, a o witanu mowy nie ma. Jakby tak dalej poszło przastalby być proboszczem do rana...

— Dobrodziej! Księżę dobrodzieju! — posłyszal głos swojej gospodyni — ja tu będę plebanii pilnowała...

— Rygluj się! — ryknął jnk bodniety rogiem — rygluj! Tyłko, żeby mnie po tym wszystkim do domu wpuściła!

Proboszcz wstał z ławy i głośno począł nos smarkać dla dodania sobie animuszu, jak również dla tego, aby przeczwieć drogi oddechowe. Dwa razy kichnął przez zaperzaly od kataru nos.

Wtedy właśnie jęknął dzwony szarpnięte z całych sił przez wlkarego Rybę i kościelnego Ignaca.

Józef Ozga-Michalski

Rys. Janina Ignatowska

A. BŁAGOW

WIERSZE TKACZA

O AUTORZE

A. Błagow, autor tomu wierszy pt. „Miasto tkaczy”, były parobek wiejski i następnie robotnik tkacki sławnych zakładów włókienniczych w Iwanowie - Woźnie-sienuku, urodził się w biedniackiej rodzinie chłopskiej koto Witowa nad rzeką, Tałką, o czym nieraz wspomina w swoich wierszach. „Miasto tkaczy” jest tedy zbiorem utworów autentycznego tkacza, który swoją tematykę twórczą czerpał z głębi najbardziej osobistych swoich przeżyć i doświadczeń. Tym samym są one wiernym odbiciem życia i problematyki jego środowiska, stając się niejako lirycznym dokumentem pewnego fragmentu dziejów proletariatu fabrycznego na drodze jego walki o własne wyzwolenie z pęt kapitalizmu i o socjalizm. Wiersze to również dokumentują wiernie pewien zaawansowany już bardzo etap rozwoju socjalizmu.

Nasze miasto

Jakież piękne dni mają pierwsze!
Ale miasto jeszcze piękniejsze,
Nasze miasto, miasto włóknarzy:
Dym z kominów w strop nieba praży,
Mury fabryk wstrząsane głucho
Przez miarowy warsztatów stukot.

Wchodzę w hall przestronne wnętrze:
Pośpiech pracy krosnami trzęsie,
Zwój satyny z każdego krosna
Jak barwna w oczach kwitnie wiosna,
Splywa metrami madapolan
Bielszy niż lśniące w śniegu pola.

Jak znajome sercu krewniaczki,
Witam sławne przadki i tkaczki,
Których znane wszystkim nazwiska
Z czią powtarza ziemia ojczysta,
Która ciągłym nadnowym biciem
Dają hasło do nowych zwycięstw.

Miło po trudach całodziennych
Oddać się czarnom wierszy śpiewnych:
Za oknem zachód zwolna gaśnie,
A z wierszy światło coraz jaśnieję
Rozlewa się po sercu błogo —
Na stole kwiat, a książka obok.

Znow wstaje dzień nade mną złoty,
Porywa miasto, rytm roboty,
I płyną wśród wzebranej fali,
Twarz się rumieciem szczęścia pali —
Co mi tam troski, co zawody,
Gdy życie piękne, a duch młody!

Opowiadanie starego tkacza

Pamiętam ja, dzieci,
Rok Dziewięćci Piąty,
Gdyśmy bunt podnieśli przeciw panom.
Czasy to już dawne:
Owe strajki sławne
W sercu ludu na zawsze zostaną.

Przerwana robota,
Wyszło nas za wrota
Robotników tysięcy i tkaczy.
Nasze kroki głośne,
Nasze głosy groźne
Pałacami wstrząsnęły bogaczy.

Nie zapomnę Tałki,
Gdzie potokiem wartkim
Wzbierał bolszewicki socjalizm,
Gdzie o dzień jutrajzyszy,
Niepodległy, lepszy
Bić się wszyscy żeśmy przysięgali.

Przemienily lata,
Nadeszła zapłata:
Nasza teraz jest ziemia radziecka —
Dale niezmierzona,
Gmachy niezliczone,
Pola, kolchoz, mgła nad nim niebieska.

(Fragment powieści)

wy, „ani żadnej rzeczy, która Jego jest!”

Ksiądz Krawczyński był człowiekiem nielekliwym, ale ostrożnym, zawiłych spraw nie lubił rozplątywać, niemniej wypadło mu często borykać się z ludzkim występkiem, lecz z tym dawał sobie radę.

Dla wielu na przykład pozostanie tajemnicą, dlaczego wraz z przybyciem Krawczyńskiego do parafii i rozrosły się do niebawomych granic ogrody. Jablonie, grusze i śliwy rok w rok poszerzały swoje królestwo, zagarniając coraz nowe hektary gruntu pod uprawę słodkiego owocu.

A przecież była to zasługa księdza Krawczyńskiego, który, jeśli już zdradził jego sekret, za każdy słodki grzeszek popełniony przez parafianina z parafianką nakazywał sadzić winowajcy cztery jablonie, dwie grusze i jedną śliwę węgierkę.

— A gdyby dama... damachę, księżkę?

— Żadną damachę, szlachetną węgierkę sadź! Pójdźesz do ogrodnika, masz tu adres i u niego sobie zamówisz drzewka...

W ciągu piętnastu lat tak wiele nagrzeszono w parafii, że wszystkie pagórki i wadyły, wszystkie słoneczne stoki zajęto pod owe ogrody.

Kto by pomyślał, kto by uwierzył, a jednak drzewa rosły, ludzie sadzili je dalej i nie myśleli rezygnować ze słodkich grzechów. Sądząc po uczynkach, nie był proboszcz Krawczyński najgorszym księżyą. Skrzyżował wiarę z życiem, a ono jakoś tam szło.

Tymczasem Iwon po krótkim odświeżeniu podwoił wściekle uderzenia w dębowe drzwi, Proboszcz zbliżył się tedy na tyle do kościelnych murów, że coraz mniej pojmował z tego, co mogło stać się przyczyną piekielnego wprost huk, wstrząsającego świętym miejscem. Smiał podejść bliżej i zatrzymując się

Wstający ze słońcem

Lud nasz pracujący
Czolem czarne chmury w niebie przeciął.
Słuchaj, jak brzmiał czysto
Nad ziemią ojczystą
Pieśń warsztatów i muzyka wrzeczion.

Patrz, jak świeci jasno
Włókiennicze miasto,
Szumią krosna wzebraną powodzią,
Zakłady fabryczne
Jak łąki kwiciste
Niezlizone barwy tkanin rodza.

Piosenka tkacza

Nie zawiędz mego zaufania
Budziku, przyjacielu drogi!
Zbudź mnie o czwartej, bez wahania
Zerwę się wnet na równe nogi.

Wstyd mi, jak wspomnę, com nie przeżył,
Gdym się raz spóźnił do zakładu:
Mróz mi na głowie włosy jeżył,
A gniew twarz ogniem palił błada.

Nie śmiałem innym spojrzeć w oczy,
Wzrokiem wśród ludzi błędniem toczył,
Takem się w sobie mocno zaciął,
Zeby dogonić resztę tkaczy.

W wysiłku, w trópsie i w pośpiechu
Nie śmiałem puścić z płuc oddechu,
Wszędzie wdziałem — myśl okrutna —
Bielsze od śniegu zwoje płótka.

I myślę czasem, czy są tacy,
Co nie kochają własnej pracy,
Skoro ich mowa, jak świat stara,
Wzywa do pracy cały naród!

Budziku, przyjacielu drogi,
O czwartej zerwij mnie na nogi,
By dzień roboty był jaśniejszy,
A głos piosenki mej wescłszy!

WSTĘPUJEMY W ROK TRZECI—ROK PRZEŁOMU

Nasza gromada — na pierwszym miejscu w powiecie

PISZE ten list z Chelmea na Ziemiach Odzyskanych. Przyjechałam tu w październiku 1945 r. Objąłem działkę o obszarze 7 ha. Z inwentarza żywego posiadam 2 krowy, 2 konie i 5 tuczników. W tym roku oddałam państwu 4 tuczniki, tyle samo mam zamiar oddać w 1952 r. Nasza gromada stoi w skupie zboża na pierwszym miejscu w powiecie. Rolnik nie musi się grzebać w ziemi wedle swego widzi mi się, bo stosuje płodozmiary według planu gminnej rady narodowej. Wprawdzie ziemię mam górzystą i kamienistą, ale dzięki spółdzielni Samopomocy Chłopskiej otrzymałem tyle nawozów sztucznych, ile mi było potrzeba. Tak samo przy akcji żniwnej i omlotowej. Państwo przyszło nam z pomocą, bo dostarczyło na czas maszyny z Ośrodka Maszynowego. Pracę na roli godzę jakoś z obowiązkami rodzinnymi. Mam troje dzieci, chłopak chodzi już do 5 klasy szk. podst. w Chelmeu, a dziewczynka pójdzie w 1952 r. Rozumiem, co znaczy wykształcenie dla człowieka. Sama lubię czytać, ale na czytanie książek nie mam wiele czasu, bo pracuję tylko z mężem bez żadnej pomocy najemnej. Czytam tylko stałe „Gromadę”. Chciałabym tak zorganizować życie, aby znalazł się czas i na pożyteczną książkę.

Zofia Bojanowska
Chelmeć

Od kozy do 2 koni, 7 krów, 20 świń...

MAM 11 ha. Jakże uprawiam rośliny? Sadzę kartofle na obronniku, po kartoflach sieją owies, po owsie żyto, po życie znów owies, po owsie zaurują głęboko na zimę pod jęczmień jary, pszenicę, mieszaną kłosową (na paszę), buraki pastewne, buraki cukrowe, len, rzepak jary, i gorczyce. Kontraktuję dużo roślin: buraki cukrowe, gorczyce, owies, len, kartofle, bo to mi się bardzo opłaca.

Mam dwa konie, 7 sztuk bydła i 20 sztuk świń (w tym 3 maciory zarodowe). Pracujemy z żoną we dwoje, dzieci mamy dwoje ale małych, jedno ma 7, drugie 4 lata. Żadnych sił najemnych nie zatrudniamy.

Jak do tego majątku doszedłem? Pó powrocie z Niemiec z robot przymusowych w domu nie zastałem nic, pojechałem więc na Zachód i tam dostałem gospodarstwo, z odłogami i bez żadnego inwentarza. Najpierw kupiłem sobie kozę, a później jak się trochę dorobiłem to kupiłem sobie krowę. Za pieniądze składane za mleko od tej krowy kupiłem sobie drugą krowę itp. aż się dorobiłem czegoś i dziękuję Polsce Ludowej, za to że mi pomogła i pomaga do dnia dzisiejszego.

Pracy mam bardzo dużo, ale trzeba sobie jakoś poradzić i tak pracę rozłożyć, ażeby była wykonana w terminie, bo niewykonanie prac rolnych w terminie to jest (w 35 proc.) upadek całego gospodarstwa. Nie marnuję ani jednej minuty na próżno, bo wiem dla kogo pracuję w Polsce Ludowej.

Kontraktuję chętnie trzodę chlewną, bo to daje wielkie korzyści dla rolnika. Latem trzymam świnię na koniecznie i dopiero jak mam świnię tuczyć to daję kartofle i sruć.

Pole moje jest bardzo górzyste, wymaga wiele soli potasowych i wapna nawozowego. A nauczyłem się tego z książek rolniczych, z gazet i z radia, czytam stałe „Chłopską Drogę”, „Głos Wyrzeża” i różne książki rolnicze, które pojawiają się w księgarniach Samopomocy Chłopskiej.

Na rok 1952 zobowiązuje się wyprodukować w swym gospodarstwie o 15 proc. więcej niż w roku zeszłym i odstawić do 1 kwietnia 1952 r. a więc już w pierwszym kwartale, tysiąc kg żywności.

Józef Pałak
Janowicki, woj. gdański

Dzisiaj kobieta więcej może znaczyć

KIEDY przywędrowałem na Zachód z trojgiem dzieci, bez męża, bo mąż zginął na wojnie, było mi bardzo ciężko. Gospodarstwo dostałem 8-hektarowe, ale pracować musiałam krowami, bo nie było koni. Pracując usilnie dorobiłam się dzisiaj 2 koni. Posiadam oprócz tego 5 krów, 10 świń: 6 kontraktowanych, 2 maciory i 2 karmiki. Daję sobie radę, a jeśli ktoś się temu dziwi, jak samotna kobieta z dziećmi może się tak dorobić, to mówię, żeby tak pracowali i tak dbali o swoją gospodarkę, jak ja. W pracy pomaga mi siostra i brat w tartaku. Oprócz tego nie wszyscy stosują system planowy i kontraktację, co daje duże korzyści. Ja kontraktuję pszenicę, jęczmień, kartofle i buraki cukrowe oraz trzodę chlewną. Gdyby wszyscy chłopcy szli w moje ślady, mieliby lepiej. A przecież życie miałam wyjątkowo ciężkie. Oprócz pracy gospodarskiej mam i społeczną, bo należę do Samopomocy Chłopskiej, jestem członkiem Powiatowej Rady Narodowej oraz Wiejskiego Domu Towarowego. Dzisiaj kobieta więcej może znaczyć niż dawniej. Staram się także kształcić dzieci. Najstarsze moje córki uczą się w Szkole Ogólnokształcącej w Zielonej Górze. Młodsza córka i syn uczęszczają do Podstawowej Szkoły

Jan Kaczmarek
Rozwadów pow. Wschowa

w Klenicy. Książki czytają moje dzieci, ja czytam tylko gazety: „Gromadę”, „Zielony Sztandar”, „Rolnika Polskiego”, „Przyjaciółkę”.

Kazimiera Kęsicka
Klenia, gm. Bojadła
pow. Sulechów

Wszystkich namawiam do kontraktacji

PRAGNĘ Wam napisać prawdę o moim życiu, a ono jest takie: jestem kobietą starszą, mam już lat 50. Wychowałam 4-ro dzieci, które nie sprawiły mi zawodu. Jeden syn pracuje jako referent rolny w gm. spółdzielni w Gościęcinie Drugi — na gospodarstwie. Córka wyszła za mąż. Ja nie rezygnuję jeszcze z życia, ale wraz z najmłodszym synem pracuję na gospodarstwie. Gospodarstwo moje liczy 2,68 ha. Cieszę się, że jestem zdrowa, daję sobie radę z gospodarstwem i zdołałam wywiązać się całkowicie wobec państwa z planowego skupu zboża i ziemniaków. Inwentarza nie posiadam wiele. Mam 1 krowę i 2 prosiaki. Do orki w polu wynajmuję traktor, bo co maszyna to maszyna. Czasem też ludzie pomogą mi zaozać końmi. Jestem małorolna, ale nie czuję się w swojej pracy pokrzywdzona i osamotniona. Państwo idzie chłopom małorolnym na rękę. Biorę czynny udział w kontraktacji zbóż selekcyjnych i bardzo sobie to chwaleb. W tym roku jesienią zakontraktowałam 1 ha żyta dla Centrali Nasionnej. Nie potrzebowałam więc brać swojego nasienia na siew. Na wiosnę też mam zamiar zakontraktować 1 ha pszenicy dla Centrali Nasionnej, a swoje zboże siewne sprzedam państwu. Dziwię się, gdy niektórzy sąsiedzi rolnicy nie chcą brać czynnego udziału w kontraktacji, bo przecież daje ona rolnikowi dużą korzyść. Kontraktację zbóż nazwałabym gwarancją urodzaju. Zboże kontraktowane więcej się opłaca, rolnik otrzymuje premię za jednolitość ziarna itd. Zwłaszcza jestem z uznaniem dla naszej GS w Gościęcinie,



Foto E. Goławski

ką prowadzą skup i kontraktację produktów rolnych. Pracują tam ludzie uczciwi, do których każdy rolnik może się udać po radę i informację o kontraktacji. Dlatego wszystkich namawiam, aby nie stronił od nowych metod produkcji rolnej i skupu, bo tędy prowadzi droga do dobrobytu i wsi i miasta.

Józefa Wierna
Gościęcin, pow. Koźle

Stosuję się pilnie do zarządzeń władz rolniczych

JESTEM chłopem małorolnym, gospodaruję na 3 ha, w tym 1 ha łąki. Mam 2 krowy i 3 świnię. W gospodarstwie stosuję się pilnie do zarządzeń władz rolniczych i wskazówek instruktora rolnego zwłaszcza co do płodozmiaru, orki użycia nawozów itp. i dobrze na tym wychodzę. Bo gdy przyszło do skupu to zamiast 100 kg zboża mogłem oddać 150 kg, a zamiast 500 kg ziemniaków — 700 kg oddałem, a także samo w r. 1951 — 4 tuczniki o wadze łącznej 1000 kg. Ale nie wystarczy samemu się wywiązać. Dlatego u nas w gromadzie prowadziliśmy zorganizowaną agitację, dzięki czemu wykonałszy jako gromada plan skupu zboża w 104 proc., ziemniaków w 115 proc., a kontraktację trzody chlewniej na I kwartał 1952 r. w 105 proc. planu.

Dzięki szkoleniu ideologicznemu dziś rozumiem dobrze, że my chłopcy musimy dać dla świata pracy chleb i tłuszcz, bo robotnicy dają nam nawozy sztuczne, żelazo, towary i w ten sposób zbudujemy razem Polskę Ludową.

Zygmunt Pluta
Bolesławów, gm. Przyrów
pow. Częstochowa

Ino te budynki

POSIADAM 6 ha, gospodaruję normalnie, choć bez zaprzęgu. Za wypożyczone konie muszę każdorazowo płacić gotówką, gdyż ośrodek maszynowy u nas pomaga tylko tym, co mają gotówkę, a nie mało i średniorolnym chłopom.

W 1950 roku sprzedałem Państwu 3,5 tony zboża, 5 ton ziemniaków, 7,5 ton buraków, a w roku 1951 — zboża 3,5 tony, 2,5 ton ziemniaków, lecz buraków mniej, bo tylko 2,5 tony, bo mi buraki zjadło robactwo. W każdym razie odstawiłem ponad plan.

Natomiast czuję żal do miejscowych władz a więc do GRN, a także do samej spółdzielni gminnej, że ja który wykonałem plan z nadwyżką zostałem za to odznaczony Krzy-

żem Zasługi, otrzymałem tylko 200 kg węgla na opał i tylko dlatego, że nie utrzymuję konszachów kumoterskich z prezesem GS.

Mieszkanie i budynki mam liche, a i inwentarza żywego, nie ma gdzie trzymać i mam tylko 2 krowy, jedną jałówkę i 2 świnię, ponieważ na więcej nie ma pomieszczenia.

A mógłbym chować znacznie więcej, ino te budynki.

Jan Karbownik
pow. Cieszyń

Bahaerka pracy

PYTACIE o planowy skup i kontraktację? Powiem Wam prosto, że każdy obywatel, który nie kręci, nie ociaga się, ale naprawdę kocha Ojczyznę może i powinien swe obowiązki wykonać w terminie.

Za co otrzymałem srebrny Krzyż Zasługi? Myślicie, że mnie było łatwo wykonać w tym roku te wszystkie powinności?

Mam lat 30, od października 1946 r. gospodarowałam z mężem na Ziemi Odzyskanej w pow. Olecko. Pracy miałam bardzo dużo: w polu i w domu, bo dzieci małe, a dostaliśmy ziemię nieobornianą, bez żadnego inwentarza ani żywego, ani martwego, tak, że przez rok 1947, pierwszy rok na swoim, cierpieliśmy wprost nęczę. Ciężką pracą dochowaliśmy się 2 koni (bo u nas w jednego konia nie da rady orać), 2 krów, kilku owiec i kilku wieprzy (w tym dwa zakontraktowane na I kwartał).

Ale przy końcu maja zeszłego roku mąż mój zginął tragiczną śmiercią, utonąwszy w głębokim bagnie. Zostałam sama, w ciąży, z dwójkiem dzieci: syn 5 lat i córka 3 lata, sama na 13 ha! Przyszło to wszystko z 13 ha sprzątała, kosić i zwozić przez całe lato, opłacić podatek, oddać zboże, spłacić pożyczkę, wszystko na moje dwie ręce, a dzieci ze sobą musiałam wszędzie wozić, bo nie miałam żadnej opieki i pomocy. Rodzina moja daleko o 50 km, brat czasem przyjeżdża, ale rzadko, bo i

szkołach, bo dzięki władzy ludowej mogę sobie pozwolić na szkolenie trojga dzieci, o czym w Polsce przedwojennej nie mógłbym nawet pomyśleć. Dlatego daję Polsce Ludowej co mogę, i pracuję ile mi sił starczy, aby zbudować jak najszybciej Polskę Socjalistyczną.

W tym też celu pracuję w Podstawowej Organizacji Partyjnej, gdzie jestem sekretarzem i dla której zdobyłem już kilkunastu członków i w Gminnej Radzie Narodowej i w Związku Samopomocy Chłopskiej.

Konrad Muszarski
Przeradz, gm. Wólczka,
pow. Miastko

Trudności mam jeszcze dużo...

OCIĘC mój ma 2 ha w pow. żywieckim i o r. 1939 pracowałem przy ojcu na roli. W r. 1940 zabrał mnie hitlerowcy na przymusowe roboty do Niemiec, skąd powróciłem dopiero w r. 1945. Po ożenku wyjechałem w 1945 roku na Zachód do wsi Buków, pow. Nysa, gdzie otrzymałem 7,7 ha (ornego 6,9 ha, łąki 0,62 ha, 0,20 ha pod zabudowaniami), ale w tym 2 ha ziemi podmokłej lub szutrowatej, z którą przy osiągnięciu wyższej wydajności mam trudności wiele. Konia mam jednego, krów trzy sztuki, jednego byczka, 1 owcę, świń zaś 15 sztuk, z tego dwie maciory zarodowe, osiem prosiąt i pięć tuczników, z tych ostatnich cztery już zakontraktowałem.

Na styczeń 1952 r. zakontraktowałem tylko 1 tucznika z powodu braku paszy: ziemniaków i sruć. Nasza GS w Kałkowie posiada sruć ale tylko żytnią, a jak mi wiadomo, sruć żytnia nie jest tak dobrą paszą do tuczu jak sruć jęczmienna, kukurydza czy łubin słodki. Dlatego z tych ośmiu prosiąt, że cztery sprzedam na chów, a tylko cztery zakontraktuję na dalsze miesiące roku 1952. Aby mieć więcej paszy zasiałam na zimę mieszanki na zielono, zawsze też staram się uprawiać rzepę ścierniskową, lucernę itp.

Ponieważ nie mam pod dostatkiem obronika stosuję zielony nawóz, nawozów sztucznych trochę mi brak, bo GS jeszcze tyle mi nie sprzedaje nawozów sztucznych, ile byłoby potrzeba!

W r. 1946 po trzymiesięcznej chorobie zmarła mi żona, a ja sam przy pracy w polu natrafiłem na minę, zostałem ranny i teraz mam uszkodzone oko. W 1946 r. padła mi jałówka, w r. 1947 koń i krowa, w r. 1950 — aż 13 świń, nie mam jeszcze siosłu i kiszę zielonką w dole, przez co mam pewne straty i dom mam stary bardzo, pod stępną i co większy wiatr, to się obawiam, żeby się dom nie obalił. Miałem więc i mam jeszcze duże trudności w gospodarce, ale postawiłem sobie, że na przyszły rok postaram się zwiększyć wydajność całej mojej gospodarki.

Jestem sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej, członkiem ZSCh, ławnikiem powiatowego sądu, biorę udział w pracach Komisji Rolnej GRN w Kałkowie. Trzeba pracować społecznie i politycznie, bo wielu moich sąsiadów myśli jeszcze tak „dla mnie wystarczy, a reszta co mnie obchodzi”. A przez taką nieobywatelską postawę i my jesteśmy stratni i Państwo też.

Stanisław Ryzek
Buków, pow. Nysa

Mam taki projekt do kontraktacji

MAM już 56 lat i przez większość z tych lat oj. nie użyłem rozkoszy, a ponieważ. Po śmierci ojca, wiejskiego krawca, pozostało nas troje dzieci i ja najstarszy, choć miałem dopiero 9 lat poszedłem na służbę do bogaczy, najpierw dzieci kołysać, później do pasionki, wreszcie za furmana u dziedzica. Do szkoły żadnej nie chodziłem, bo i skąd.

W roku 1916 poszedłem na front najpierw rosyjski, później włoski, na koniec serbski i tu dostałem się do niewoli, skąd powróciłem dopiero w r. 1920 i znów na farnal u dziedzica. W latach 1927—1934 byłem na robotach we Francji. Po powrocie pracowałem na swoim, dopóki mnie nie wywieźli z synami i córką na przymusowe roboty do Niemiec, a później na dwa lata do kamieniołomów w Gross Rosen a wreszcie do Mauthausen, skąd wróciłem dopiero w czerwcu 1946 roku i otrzymałem 4 ha w Howej. Mam dziś 1 konia, 2 krowy, cielęta i buhaja, maciory i trzy większe świnię.

Dzieci mam już dorosłe, pracują w innych zawodach, przy mnie jest tylko najmłodsza córka lat 18 (która się uczy) i wnuczek lat 8, pracujemy więc na gospodarstwie sami z żoną, a żonę mam dobrą i bardzo pracowitą, a gospodyni jak wiecie trzyma trzy węgły w oborze i w domu a gospodarz dopiero czwartki. Dzięki jej pomocy mogę pracować społecznie, a mam tych funkcji chyba za 14 i żadnej nie zaniedbuję.

Pracować dobrze w gromadzie, gminie i powiecie, wywiązać się z wszystkich obowiązków, to nie jest dziś w Polsce Ludowej żadną sztuką, ale trzeba pracować stale, wytrwale, systematycznie, z planem, myśleć nie tylko o dziś, ale i o jutrze, i nie oglądać się na głupie gadania i plotki, a co będzie wiosną, a co będzie jesienią, czy doczekam itp.

Mam ci ja taki projekt do kontraktacji trzody. Powinna być na



Michał Klimczak
Iłowa, pow. Zagaj

By dzieci dożyły komunizmu

DZIĘCINSTWO moje było ciężkie, ojca zabili bandyci, wkrótce zmarła matka. Nie mając jeszcze 8 lat musiałem pójść na służbę do bogatszych gospodarzy, następnie zaś, aby utrzymać młodszego rodzeństwo, pracowałem na sztykach. W szesnastym roku życia zacząłem pracę w kopalni „Flora” w Dąbrowie Górniczej, gdzie pracowałem z przerwami do 1941 r. Nielatwy był to kawałek chleba, gdyż często redukowano nas lub podlegaliśmy wypadkom. W 1941 r. hitlerowcy wywieźli mnie do Westfalii, do robot przymusowych w gazowej kopalni, ale byłem tam krótko i wróciłem z powrotem do swojej kopalni, gdzie pracowałem do wyzwolenia.

W 1923 r. wstąpiłem do Komunistycznej Partii Polski, w 1945 r. zakładałem na terenie swojej gminy Polską Partię Robotniczą. Spadły na mnie nowe obowiązki, tym razem społeczne. Przyczyniłem się do założenia Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Łośniu, gdzie do tej pory pracuję. Jednocześnie jestem członkiem Komitetu Gminnego PZPR i GRN. W pełnieniu tych obowiązków przeszkadzał mi brak wykształcenia, gdyż szkoły podstawowej nie ukończyłem na skutek tego, że musiałem sam się utrzymywać i zarabiać od dzieciństwa na życie. Przeszedłem więc kurs analfabetów, nauczyłem się trochę pisać i czytać, lecz jeszcze mi idzie trudno.

Ziemi posiadam niewiele, zaledwie 1 ha i 80 arów, piaszczyste, więc tym więcej trzeba o nią dbać. Po zebraniu plonów sieję paszę na zielono dla bydła, daję obroniką sporo i trochę nawozów sztucznych. Mam jedną krowę i jedną jałówkę, którą sam przychowałem, dwa barany i 3 świnię, z których dwie kontraktuję, a trzecią zostawiam dla siebie. Gospodarkę uczylem się od moich dzieci, które w przysposobieniu rolniczym prowadziły pełną doświadczenia, za które otrzymały nagrody. Dużo też przykładowo biorę z „Chłopskiej Drogi” czy „Gromady”, które czytuję moja żona na głos wieczorami.

Mam trzy córki. Dwie są zameżne i zięciowie moi pracują w fabrykach, trzecia córka mieszka przy nas. W 1945 r. zakładała ona ZWM, od 1946 r. jest w Partii, ukończyła kursy Opieki Społecznej, Przysposobienia Rolniczego, organizacyjny kurs ZWM-u, instruktorski „Służby Polsce”, zaś ostatnio skierowano ją do Wojewódzkiej Szkoły Partyjnej w Katowicach, po ukończeniu której została referentem personalnym w Hucie Szkła Gospodarczego w Zabokowicach.

Żona moja również pracuje społecznie, znajdując na to czas poza obowiązkami domowymi. Prowadzi w gromadzie Koło Gospodyń Wiejskich oraz jest członkiem Komitetu Powiatowego PZPR w Będzinie. Jesteśmy, cała rodzina, szczęśliwi z dzisiejszej rzeczywistości. Pragnę zaś jednego: aby dzieci moje dożyły komunizmu.

Franciszek Hajda
Kosień, pow. Będzin



Dopiero teraz otwiera się pole do działania

PYTACIE mnie, jak daję sobie radę na gospodarstwie. Warunki życia mam rzeczywiście ciężkie, ale do samodzielności i pracy przywykłam od dawna. Jestem wdową po górniku — Józefie Ficaku i całe moje życie obraca się koło kopalni, bo i jedyny mój syn przy pracy na kopalni uległ wypadkowi i wtedy zostałam już bez żadnej męskiej pomocy i musiałam dawać sobie radę i pracować sama na całą rodzinę. Bo oprócz tego syna, mam jeszcze trzy córki, z których jedna jest zamężna, też za górnikiem. Chociaż nie jestem bogata, zawsze starałam się pomagać biedniejszym na wsi. Praca w domu nie wystarczała mi. I dziwiłam się, że moje wysiłki przynosiły nie takie rezultaty, jak chciałam. Budziła się niechęć biedniejszych do tego, kto chciał ulżyć ich niedoli. Dziś zrozumiałam, dlaczego tak było. Bo przecież taka doradza pomoc nie biedniejszym nie da. Trzeba poprawić dole wszystkich, podnieść ogólny dobrobyt. Dziś dopiero otwiera się takie szerokie pole do działania. Obywatel-rolnik gospodarując sprzedając Państwu płody rolne pomaga i sobie i innym. Więc dziś chociaż dużo muszę pracować, przy pracy w gospodarstwie podobać, pracuję z innym sercem i zapałem.

Anastazja Ficek
Wilchwy, gm. Wodzisław
pow. Rybnik

Zebrałem 30 q pszenicy, 23 q żyta, 25 q jęczmienia 200 q ziemniaków z 1 ha...

MOJE koleje życiowe? Miałem je bardzo marno. Rodzice moi pracowali na folwarku, więc żadnego wykształcenia dać mi nie mogli. Gdy tylko skończyłem 4 klasy szkoły powszechnej musiałem iść do pracy na pańskim i tak biedowałem aż do roku 1944. Choć miałem już ponad 50 lat (a ranny byłem w pierwszej wojnie pod Verdun) od razu po wyzwoleniu Ziemi Zachodnich ruszyłem z rodziną do powiatu Wschowa, gdzie otrzymałem gospodarstwo 6 ha w Konradowie.

Z początku słoń nam trudno, bo mieliśmy tylko 1 krowę, ale dzięki pomocy Państwa Ludowego, od którego dostałem krowę i konia a później i drugiego konia, człowiek się pomalu dorabiał.

Dzieci mam dziesięcioro: 4 synów i 5 córek, wszystkie dorosłe i mają już swoje rodziny, ale nie wykształcone, bo przed wojną, gdy były jeszcze małe, nie było gdzie i za co je kształcić.

Dziś poza swoimi 6 ha, dzierżawię jeszcze 3 ha i 25 arów, mam już 3 krowy, jałówkę, 1 konia i żrebaka. Paszy mi starczy, bo kontraktuję ziemniaki do gorzelni i buraki cukrowe — to i mam wywar oraz wylók i liście buraczane.

Ziemi uprawiam starannie, daję pełne nawożenie, to i zbiory mam niezłe. W tym roku pszenicę zebrałem po 30 q z hektara, żyta po 23 q, jęczmienia (kontraktowany) — po 25 q, ziemniaków (zakontraktowane na sadzeniaki) — po 200 q, a rzepaku po 10,6 q z ha.

Pracuję nas na tej gospodarce troje: ja z żoną i syn i dobrze nam się powodzi. Państwo Ludowe mnie w pierwszych latach w mej biedzie wspomogło i dziś pomaga, to i ja staram się państwu jak najwięcej oddawać.

W gromadzie jestem prezesem gromadzkiej ZSCh i kierownikiem grupy plantatorów, kontraktujących zboże, kartofle, rośliny oleiste. Do tego prowadzę i zlewnię mleka w gromadzie.

Jan Kaczmarek
Rozwadów pow. Wschowa



LESZEK HERDEGEN

P O E T Y C Z N I E



Jan Maria Giges w swym ostatnim tomiku „Pierwsza miłość” wchodził nieraz jeszcze na ścieżkę niekomunikatywności, obecny nowemu czytelnikowi poetyki, a niektóre jego wiersze są małą antologią „chwyłów” poetyckich od Słowackiego przez Staffa i poetów Skamandra do awangardy. Jak to się stało? Postuchajmy.

Giges debiutował w r. 1946 tomem wierszy „Wieżień i chłop”, który w przeważającej większości utworów był obrazem przeżyć autora w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Wiersze te były niewątpliwie pozytywnym zjawiskiem na tle ówczesnej liryki, ulegającej obecnym nam ideowemu tendencjom literatury zachodnio-europejskiej — reprezentowały szczerą prostotę, dawały prawdziwy obraz nieszczęśliwego przez faszyzm człowieka. Prosta obozowa wiersz Gigesza graniczyła z pewnym prymitywizmem, którego korzenie sięgały aż do piosenek i ballad Franciszka Villona:

„Wesoło i rześnio
muzyka gra na bloku,
muzulman błady z boku
nie wie, czemu tak jakoś jest
świētliście”.

Albo:
„Przystanęm w błocie
za blokiem
bo człowiek człowieka kopat”.

Jednak już w tym tomiku, w wierszach związanych z życiem wsi zaczęła się rodzić słabość poezji Gigesza, która trwała właściwie do dzisiejszego dnia. Giges tworzył metafory, w których zamiatanie obrazu komplikowało czytelność utworu, a styl pozostawał jaśności i zwięzłości. Pisał np.: „Wbijam nogi w bieżnię przeszłych lat i miast do mety wracam”. Maniera niepoprawnie rządzących linią przewodnią u-

tworu dygresji i spiętrzania metafory osłabia wymowę ideową i artystyczną ciekawie pomyślanego poematu „Opowieści krajobrazu” (1948 rok), gdzie sprawa walki klasowej w łonie podziemia w latach okupacji została podana sztucznym i „przekombinowanym” językiem artystycznym.

Błędy pierwszych dwóch książek Gigesza odezwały się w najnowszym jego tomiku. Zawiera on wiersze nawiązujące do problemów nurtujących współczesną wiesć polską. Mówią one o przemianach społeczno-kulturalnych na wsi, o upowszechnieniu oświaty i kultury, o walce z analfabetyzmem, o pracy samorodnych artystów wiejskich, o walce klasowej. Zakres tematyczny — jak widzimy — jest bardzo ciekawy i dla naszej poezji nowy. Niestety, zagadnienia te nie zawsze rozwiązane są w sposób ideologicznie słuszny i artystycznie przekonujący.

Wzięmy jako przykład dwa sonety traktujące o pracy wiejskich rękodzielców („O garncarzu z Ilży” i „Odwiedziny”). Poeta nie oskarża uświadomionych przez feudalny i burżuazyjny ustroj prymitywnych sposobów ich pracy, przeciwnie — podziwia „zgrzebną” charakter bytowania i „kurz, spoczywający wszędzie w niewielkiej komorze”. Nie jest to ujęcie właściwe, ponieważ ustroj nasz tym się m.in. charakteryzuje, że kulturywie samorodną twórczość, dając ludowym artystom możliwość kształcenia się, stwarzając warunki materialne zdolne zapewnić im spokojną pracę twórczą. Daleko słuszniej rozwiązuje zagadnienie przemysłu chałupniczego w „Krosnach” — konfrontując je z obrazem zmechanizowanej i na innych podstawach społecznych opartej produkcji.

Inny błąd obciąża wiersze „W miasteczku wystawa obrazów” i „Na targu”, w których poeta przyjmuje postawę obserwatora, który stanął wobec „ludu” i dziwiwie się jego krasie i chłonności intelektualnej.

Za tą postawą samotnego wyciecznika podąża odpowiednia interpretacja artystyczna opisywanych zjawisk i problemów. Poetę opanoowała — w gruncie rzeczy uzasadniona — ale przesadna obawa przed frazesem i łatwizną, w wyniku czego nieopatrznie kontynuuje swój niewłaściwy język poetycki z „Opowieści krajobrazu”. Czytelnik odnosi wrażenie, że nieraz Giges pisze tak, żeby było „poetyczniej”. We wszystkich niemal wierszach obserwujemy sztuczną komplikację stylistycz-

ną, polegającą na niesprawdzalnej, nieczytelnej metaforze — z jednej strony, z drugiej zaś — na spiętrzaniu poetyckiej frazy, na dążności do uchwycenia zbyt wielu spraw w jednym członie wiersza. Oto przykład charakterystycznego przemafatoryzowania obrazu:

„Ochodzę w wieczór, kiedy
chóry żabie
kładą noc na seledynową
smudze nowiu”
(str. 12)

„Szkłane gniazdzka powięzają
uczucia ze światem”
(str. 35)

(mowa o izolatorach).
A oto rozbudowane do przesady zdanie poetyckie:

„Zieleń jeszcze dojrzała, a już
ku starości
schylająca wierzchołki, z wiatrami
po społu
szumi nad gwarem dzieci, który
jest pochlebstwem
dla potworków, fontanny i rzeźby
kobiety
wracającej z jarmarku, aby sytość
trwała
pod dachem mariensztackim jak
obraz zawista”.

(„Miasto młodego zapału”)

Pomijam już fakt, że wyrażenie zachwytu dzieci nad pięknym rzeźb Mariensztatu określeniem „gwar dzieci jest pochlebstwem” — jest niezręczne i nienaturalne, ale poeta kojarzy obrazy bez końca, nie segregując ich, nie zwracając uwagi na czytelność całej frazy i konieczną przejrzystość konstrukcji.

Najlepiej Giges czuje się w gatunku poematu pół-epickiego typu „Antek” i „Miłość ścieżek nieurtarych”. Są to utwory stosunkowo najczystsze artystycznie, trafnie ujmujące istotne problemy walki klasowej, o jasnej kompozycji i prawie prostym języku. Mówią one o przekształceniach społecznych i politycznych na wsi i w oparciu o konkretne, rzetelnie przeanalizowane przykłady (elektryfikacja, rola agitatora wiejskiego, rola spółdzielni produkcyjnej) — i rozwiązują je w sposób ideologicznie słuszny i artystycznie — jak wspomnieliśmy — przekonujący. Błędy komplikacji i niesprawdzalnej metafory należą tu już tylko do wyjątków. Wydaje mi się, że właśnie na linii rozbudowy elementów epicznych w liryce i dążenia do jak największej prostoty leży przyszłość poezji Gigesza.

Leszek Herdegen

*) Jan Maria Giges — „Pierwsza miłość”, „Czytelnik” 1951.

Pierwszy głos HELENA ZAWORSKA

WOKÓŁ „SCHEMATYZMU”

Pierwszy i drugi wąsaty, gruby kulać w maciejówce ukazany przez współczesnego pisarza nie był jeszcze zjawiskiem niebezpiecznym. Niebezpieczeństwo zaczęło się wtedy, gdy się okazało, że kulać w ogóle nie może być chudy, że pisarze odrywając się od analizy konkretnej rzeczywistości stworzyli sobie kulakawoźcę, który automatycznie użytkują w swym utworze. Oto przykład schematyzmu w obrazowaniu.

Za pierwszym i drugim razem, gdy sekretarz Podst. Org. Part. zdecydowanie rozwijał trudności produkcyjne po alarmującym liście z Centrali, usuwając wbijającego szpilki w pas transmisyjny wroga klasowego, wszystko było jeszcze w porządku. Skoro jednak zaczął się rozpuszczać model — wzorzec pewnej konstrukcji walki o produkcję — wtedy rozpoczęło się istotne niebezpieczeństwo. To przykład schematyzmu w konstrukcji ideowo-artystycznej.

Zagadnienie schematyzmu zostało celowo uproszczone w tych przykładach dla łatwiejszego zdefiniowania go oraz określenia konsekwencji ideologicznych. Co więc nazwiemy schematyzmem? Niedocenianie w motywacji artystycznej — ideowej utworu całej złożoności i różnorodności przejawiania się pewnych konfliktów rzeczywistości, stosowanie utartych, „wzorcowych” konstrukcji akcji, charakterystyki postaci, motywacji ideologicznej i psychologicznej postępowania bohaterów itd. Jakież są, mówiąc najogólniej, źródła schematyzmu? W pierwszym rzędzie niedowład ideologiczny pisarza, brak pełnej obserwacji rzeczywistości. Konsekwencje ideologiczne i artystyczne schematyzmu są jasne. Rzeczywistość zostaje ujęta w sposób niepełny i ograniczony. Zagadnienie schematyzmu w naszej literaturze wiąże się nie tylko z pojęciem „wzorca” — schematu oraz z pewną ilością dokonanych z niego odbitek. Schematyzm grozi rozwojowi naszej literatury. O rozwoju literatury bowiem można mówić, gdy mamy do czynienia z pogłębieniem się jej realizmu, bogactwem i pełni obrazu rzeczywistości w niej zawartego. Ukazywanie jednakowo dojrzałych odcinków rzeczywistości, choćby ono było słuszne w pojedynczym wypadku — przy większej ilości tego rodzaju zjawisk hamuje poszerzenie się obrazu rzeczywistości w literaturze, jej realizm — hamuje rozwój literatury.

Z tego jednak nie może wynikać, że schematyzm istnieje i jest niebezpieczny tylko w procesie „kalkowania”, ani że ten proces jest dla schematyzmu zjawiskiem zasadniczym. Przeciwnie — jest on zjawiskiem wtórnym. Zasadniczy jest tu fakt, iż każda książka zawierająca w sobie elementy schematyzmu jest książką o realizmie niepełnym, gorzej — schemat jest nosicielem wyraźnych zniekształceń proporcji realistycznych. Choćbyśmy nawet książkę nie powtarzała żadnego określonego schematu, może być schematyczna przez niepełną motywację artystyczną — ideową. Stwierdzenie to jest niezmiernie ważne, pozwala bowiem zauważyć, że schematyzm nie leży w jakimś zewnętrznym podobieństwie konstrukcji ideowej — artystycznej, w nieoryginalności pomysłu pisarza, ale w ograniczonym widzeniu rzeczywistości. Braki i błędy ideologiczne tworzą schemat, a nie na odwrót. Tak więc schematyzm — co nie zawsze jest rozumiane — nie wypływa z nieoryginalności techniki pisarskiej. Staże się to jeszcze bardziej oczywiste przy uwzględnieniu jeszcze jednego zagadnienia. Każda epoka stwarza pewien podobny typ sytuacji życiowych dla grup społecznych czy całych klas, stwarza pewien typ sytuacji określonych historycznie. Literatura, odbijając te częste podobieństwa, stwarza konwencje konstrukcji losu ludzkiego, będącą odbiciem konkretnej rzeczywistości, pewnych charakterystycznych powtarzających się konfliktów, motywacji itp. Nie jest to jednak schematyzm, o ile posiada pełną motywację artystyczną — ideową.

Tak więc wyjście ze schematyzmu nie leży w porzuceniu pewnych kręgów tematycznych i pewnych najogólniejszych konstrukcji — konwencji realizmu socjalistycznego. Leży natomiast we właściwej obserwacji rzeczywistości w pogłębieniu ideowym utworu, prowadzącym do wyższego poziomu artystycznego. To tylko może pozwolić na wywołanie się od wielu zbieżności techniki i konstrukcji utworu oraz obrazowania — rysowania przez szablony. Wynikłoby to jasno na konkretnych przykładach, przekraczałoby to jednak ramy tego felietonu.

Gmatwanie tych wszystkich pojęć przez pisarzy oraz przez krytykę, nie zawsze orientującą się w źródła zła, słabą ideologicznie, krytykę, której dość długo wystarczało samo postawienie nowego tematu i przepisowe rozwiązanie go w granicach niezawierających programowych błędów polityczno — społecznych — przyczyniło się do powstania pewnej ilości książek obciążonych schematyzmem. Niestuszną jednak byłaby sugestia, że literatura nasza, ulegając schematyzmowi odeszła w ogóle od realizmu i nie przekazała nic z istotnych rysów rzeczywistości, którą miała odbijać. Wiele utworów zdołało się od schematyzmu uchronić, a nawet często w jednej książce przebiegały linie pełnej obserwacji realistycznej, mimo wielu cech schematyzmu. Tam, gdzie schematyzm prowadził do zasadniczych błędów ideologicznych, funkcja realizmu była rzeczywicie ograniczona. W innych wypadkach otrzymywaliśmy obrazy niepełne, ale przeciętne — obrazy realistyczne.

Obecny etap w tym naświetleniu można więc określić jako rozszerzenie wymagań, poszerzenie kąta widzenia. Przewidywany etap nie był odejściem od warsztatu realizmu socjalistycznego, nie może być uważany za zjawisko, które odrzucamy jako wroga w znaczeniu antagonistycznym. Obracał on się w granicach socrealizmu, czy też dążył do niego, ale z powodu słabości ideowej i artystycznej nie dał na skali ogólnej wielu dzieł o pełni realistycznego ujęcia naszego życia.

Jedną z ostatnich prób ogólniejszej rozprawy ze schematyzmem w literaturze stanowią referat Ludwika Flaszera, wygłoszony w grudniu 1950 r. na posiedzeniu sekcji prozy Związku Literatów w Warszawie. Referat, usiłujący sprobować i wyjaśnić sprawę schematyzmu, był zjawiskiem symptomatycznym. Obok pojęcia niewątpliwie koniecznej walki z niebezpieczeństwem schematyzmu, obok odważnej i potrzebnej krytyki, referat ten zawierał akcenty niepokojące ze względu na fałszywość pewnych założeń, które decydowały o motywie zarówno o linii, na jakiej podążać by się mogła dalsza dyskusja, jak i o ocenie źródeł szeregu błędów ideowo — artystycznych naszej literatury. Referat Flaszera w swej części „prokuratorowskiej” był na ogół słuszny, zarzuty były zarzutami uzasadnionymi, wykazywane błędy schematyzmu były konkretne i sprawdził. Słuszny wydaje się stwierdzenie, iż nasza literatura współczesna przypomina niekiedy rysunek dziecięcy, który mimo, iż wyrysowany na nim dom jest dostatecznie duży i wyraźny, opatrzone zostały na wszelki wypadek wielkim podpisem „dom”, aby już nie mogło być żadnych wątpliwości. Słusznie dopatruje się w tym Flaszera niezasadnioną obawę pisarza, iż obraz przed nim nakreślony może posiadać zbyt małą wyrazistość interpretacyjną, wobec czego należy czytelnikowi w sposób jak najbardziej dokładny (a zazwyczaj mający niewiele wspólnego z obrazowaniem artystycznym) wyjaśnić, że chodzi tu nie o co innego, lecz właśnie o dane zagadnienie i dane rozwiązanie. Jakby literatura nie rozporządzała innymi możliwościami niż możność stawianie literackiego napisu pod obrazkiem. Często drogą

do schematyzmu — stwierdza dalej Flaszera — jest mylne wyobrażenie pisarza, iż literatura piękna jest jedyną formą zdobywania wiadomości o rzeczywistości współczesnej i że czego czytelnikowi literat o światodaniu, walce klas, roli proletariatu itd nie powie, tego on się z żadnego innego źródła nie nauczy. Konsekwencją tego wyobrażenia ma być fakt, iż literatura ma niezdrowe ambicje stania się encyklopedią życia współczesnego, rywalizując niepotrzebnie przy pomocy metod nie zawsze jej właściwych, z radiem, gazetą, a przede wszystkim z doświadczeniem własnym czytelnika oraz z tyśiącem innych możliwości, które sprawiają, że zagadnienia te nie są nam obce.

Nie starając się być dostarczycielem wiadomości, uogólniając je, zachowując proporcje w ich wyborze, ukazując w żywym przecięciu z losami człowieka — przekonuje Flaszera.

Referat Flaszera cechował ton oskarżycielski. Referent oskarża wszystkich i wszystko: literaturę za to, że schematyczna, krytykę za to, że zbyt pobłażliwa, pisarza za to, że daje utwory słabe artystycznie, uproszczone, zdeformowane ową łatwą schematyzmu. I tu należałoby postawić referentowi dwa główne zarzuty. Pierwszy: Flaszera w swoim zapędzie krytyka popada właściwie w negację wartości literatury współczesnej. Brak dokładnego określenia istoty schematyzmu, jakiegoś ścisłego zdefiniowania tego pojęcia, doprowadził referenta do operowania nim w sposób dość dowolny. Referat nie stawia zagadnienia w ten sposób: literatura współczesna jest realistyczna, przejawiają się w niej jednak wyraźne skutki nacisku obcych realizmów metod pisarskich, do których w pierwszym rzędzie należy schematyzm. Referat sugeruje stwierdzenie wręcz odwrotne i głęboko niestuszną: literatura współczesna nie jest realistyczna, przeważa w niej maniera schematyzmu, chociaż niewątpliwie pewne osiągnięcia realistyczne należałyby zanotować. Ta sugestia referatu dowodzi zasadniczego zatracenia perspektywy rozwojowej naszej współczesnej literatury, zatraty proporcji, w jakich występują w tej literaturze typy ideowo — konstrukcyjne, stanowiące o jej zasadniczym realizmowym kształcie.

Zarzut drugi: to niestuszną dostrzeżenie źródła błędów przede wszystkim w stronie formalnej. Śreg analiz i stwierdzeń Flaszera sprowadza się właściwie do tego, że głównym brakiem naszej literatury jest niedowład warsztatu artystycznego, niemożność przedstawienia istotnych konfliktów w sposób właściwy i pełny, zejście na łatwiznę i schematyzm. Autor wprowadza nadmieniał kilkakrotnie, iż źródło schematyzmu tkwi m. in. w nieprzygotowaniu społeczno — ideologicznym pisarza, jednak te stwierdzenia nie stanowią w referacie głównej linii, po której powinien pójść atak krytyka. Według Flaszera strona formalna, nieopadłość artystyczna, są głównymi źródłami błędów. Na ten też odcinek Flaszera kieruje przede wszystkim swą uwagę.

Nie docenia natomiast wagi problemu słabości ideowej pisarza oraz braku solidnego przygotowania ideologicznego, jako podstawowych braków, uniemożliwiających trafną obserwację i dojrzałą analizę. Właśnie ów brak znajomości kategorii, które by mogły zjawisko określić i wyjaśnić do końca, brak wyrobienia społecznego, politycznego, ideologicznego naszych pisarzy sprawiła, że konstrukcja losu ludzkiego oraz ocena i analiza konfliktów są uproszczone, że schematyzm jako ograniczone niedozwolone pole widzenia świata jest już bezpośrednią konsekwencją tych braków.

Referat Flaszera nie postawił również jasno sprawy dla tematu tego zasadniczej: sprawy schematyzmu i schematu a raczej pewnej konwencji typu konstrukcji ideowo-artystycznych, charakterystycznych dla danej epoki, danej klasy, danego momentu historycznego, o czym była mowa wyżej. Referent zdawał się mieć niestuszną pretensję do tego, że powtarza się ten temat, konflikty, typy bohaterów. Nie w tym jednak leży błąd naszej literatury, że tematyka jej, bohaterowie, możliwości rozwiązań zasadniczych konfliktów są określone przez logikę naszej rzeczywistości, lecz w tym, że zagadnienia te przedstawiane są w sposób schematyczny, tzn. uproszczone, niedojrzały, nie dający pełnego odbicia rzeczywistości, nie umiającej zdobyć się na dostrzeżenie całej dynamiki i złożoności jej rozwoju. W referacie Flaszera zasadnicza różnica między schematyzmem a pewną konieczną konwencją literacką niekiedy zacierała się. Wypływało to ze wspomnianego już braku definicji schematyzmu — braku dokładnego określenia istoty tego zjawiska, co w konsekwencji prowadziło do symptomatycznego zgrzebiecia, polegającego z jednej strony na określeniu przy pomocy schematyzmu wszystkich (nawet nie ze schematyzmem nie mających wspólnego) błędów naszej literatury, z drugiej zaś — na pewnym pomieszczeniu pojęć schematyzmu i typowej, słusznej, koniecznej konwencji literackiej.

Referat Flaszera zapoczątkuje prawdopodobnie dyskusję o schematyzmie. Sytuacja bowiem dojrzała do tego, by rozprawa ze schematyzmem stała się ważnym etapem walki o wysoki poziom ideowo — artystyczny literatury realizmu socjalistycznego.

Helena Zaworska

ANDRZEJ DRAWICZ

NIEURTARTE ŚCIEŻKI MIŁOŚCI

Twierdzić, że analiza krytyczna poszczególnego utworu nabiera walorów pełni i głębi dopiero przy zestawieniu go z innymi pozycjami danego twórcy, że w perspektywie ogólnej może ocenić szczególnie wyraziście ocenę szczegółów — jest to wywazać otwarte drzwi. Truizm taki nabiera jednak cech postulatów szczególnie ważnego w obliczu pewnych zjawisk, uwidoczniających się na materiale dorobku literackiego niektórych naszych poetów. Myślę o tych autorach, których wcześniejszy czy późniejszy debiut stał pod znakiem silnych obciążeń przez relikty burżuazyjnego dekadentyzmu, w jego wielu złożonych postaciach — a którzy zrobili w swych dalszych utworach poważny krok w kierunku ich przezwyciężenia. Wyniki, do których doszli, bardzo często nie są jeszcze w pełni zadowalające — ale miara rzetelnego wysiłku twórczego dana jest w zestawieniu punktu wyjścia i punktu docelna, pomagając obserwatorowi wyczuć i ocenić linię rozwojową poety.

Do tego typu autorów należą i Jan Maria Giges.

Sprawa Gigesza posiada tu niewątpliwie pewne szersze znaczenie. Tracenie z oczu linii ewolucyjnej jego poezji, niedocenianie elementów przełomu, występujących w jego ostatnich utworach oznaczałoby przekreślenie możliwości przestawienia się na tory poetyckiego realizmu u tych pisarzy, związanych z tradycjami „literatury wiejskiej”, u których obciążenia „chłopskiego nadrealizmu” z czasów 20-lecia międzywojennego wciąż jeszcze wywołują poważne spustoszenie w ich twórczości poetyckiej. Logika rozwoju naszej literatury niewątpliwie pcha ich jednak ku rozwiązaniom słusznym i artystycznie dojrzałym.

Poważne sprzeciwy, jakie budzi z reguły niemal wśród krytyków wiele z utworów Gigesza, zwłaszcza tych objętych wydanym ostatnio tomem „Pierwsza miłość” — muszą stracić na ciężarze gatunkowym z chwilą uświadomienia sobie, jak wielka rozpiętość założeń ideowo — tematycznych i warsztatowych cechuje pięcioletni dorobek poety.

Debiut Gigesza — wydrukowany w r. 1945 tomik „Wieżień i chłop” — to w żadnym razie nie tak bardzo „czytelnym zjawisko na tle ówczesnej liryki” — jak chce tego w zamieszczony obok wypowiedzi L. Herdegen. Pogłosy „szczerzej prostoty” były w objętych zbiorach utworach — gruntuje przylotowa-

balastem wybujałej metaforyki i dziwacznych skojarzeń — i niemniej gruntuje w konsekwencji zaciemnione pogłosami wszelkiego rodzaju „izmów”, usuwających ówczesny dorobek Gigesza poza zainteresowania szerszych kręgów czytelniczych.

Stąd też niewątpliwie autentyczność i szczerść przeżyć więzionego za drutami obozów koncentracyjnych człowieka, w konsekwencji jego zagubienia światopoglądowego, nie znalazły wyrazu w odpowiednio wypracowanym zasobie środków formalnych.

Sytuacja nie ulega zasadniczej zmianie i w tej części tomu, gdzie poeta, już w okresie powojennym, poszukuje ucieczki od wspomnień i odpoczynku na „wsi spokojnej”.

Dowodem próby uchwycenia pewnego fragmentu rzeczywistości mieszczańskiego w ramach tematyki okupacyjnej — był poemat „Opowieści krajobrazu”. Próba — należąca od razu stwierdzić — zawiodła na całej linii wobec braku należytej precyzowanej motywacji politycznej i realistycznej w utworze.

Wypada tu raz jeszcze podjąć polemikę z niektórymi tezami cytowanej wypowiedzi krytycznej L. Herdegen. W pewnym miejscu sformułowanie (znamienne, jak wynika z dalszego ciągu, dla ogólnej opinii o zbiorze) — brzmi następująco: „Błędy pierwszych dwóch książek Gigesza odezwały się w najważniejszym jego tomiku pt. „Pierwsza miłość”. Czy nie należałoby jednak zaznaczyć, że oprócz błędów zbiór stanowią zupełnie wyraźne „novum” prowokujące krytyka do zwrócenia bardziej zyczliwej uwagi, a czytelnika — do zapoznania się z jego treścią? Jasną chyba rzeczą jest zasługa pisarza, który dokonał poważnego wysiłku objęcia kręgiem zainteresowań tematyki wsi, ujętej pod kątem zachodzących w tej wsi przeobrażeń.

Mówimy więc — tematyka wiejska. Jednakże autor dostrzegł wśród obrazów przemian zachodzących na wsi przede wszystkim aspekt upowszechnienia kultury. Sentymenty wobec wsi utrwał w poetyckim słowie także szereg zjawisk już anachronicznych, stanowiących elementy dawnej „wsi spokojnej”.

Krag doświadczeń autora jest jeszcze ciągle kręgiem inteligentnego społecznika, cieszącego się zakładaniem gminnych bibliotek, zwalczaniem analfabetyzmu, śpieszącego z zaciekawieniem na swe wieczory autorskie — a zarazem obserwującego z sentymentem krosna, pracę

garncarza, czy wieśniaczki na targu. Wszystko to prawda. Należy jednak z naciskiem podkreślić, że zasób doświadczeń Gigesza ulega znacznemu rozszerzeniu w dalszych partiach tomiku. Szczególnie silnie wydobyła się tu w obrębie dwóch większych utworów „Miłość ścieżek nieurtarych” i „Antek”. Poeta przewidywał tu w pełni swe niedawne stanowisko, traktujące wieś jako egzotyczny rezerwat ciekawostek kulturalnych, dostrzegając i aprobując perspektywę postępu na wsi:

„Więc uwierz synowi, że cep,
plug i kosi
trzeba przesać muzeum kultury
ludowej...”

Zasadniczym momentem decydującym o wadze i znaczeniu nowych elementów poezji Gigesza jest fakt dostrzeżenia przez poetę przejawów walki klasowej na wsi. Poszukiwanie właściwej struktury poetyckiej dla tych problemów — przynosi watek narracji epickiej. W „Miłości” jest on jeszcze dość niki — często przytacza go bezpośredni komentarz odautorski, mający przydać opisywanym wypadkom znamiona „szerszego oddechu”. Walka klasowa ogniskująca się wokół problemu elektryfikacji wsi przybiera w skutkach tego znamiona dość mgliste i migawkowe. Punkt kulminacyjny — zebranie gromadki, na którym stary chłop rzuca prawdę w oczy kulakom, grzeszy konwencjonalnością i schematyzmem — postacie ujmowane są jedynie jako ilustracje dla pewnych tez, bez troski o ich psychologiczne pogłębienie i prawdopodobieństwo. Całość reprezentuje jednak przy tym wszystkim pewne wyraźne osiągnięcia.

Przeświadczenie o postępie w twórczości Gigesza pogłębia się jeszcze przy „Antku” — wartki epicki tok narracji obejmuje tam wyraźne zarysowany konflikt chłopca, wyzyskiwanego wraz z rodziną przez kulaków a wziętego w obronę przez organizację ZMP-owska. Z zainteresowaniem obserwujemy, jak ściśle warunkują się nawzajem rozwój świadomości i pogłębienia techniki twórczej poety. Walory artystyczne „Antka”, mimo wyraźnych niedopracowań, zbliżają utwór do realistycznego typu konstrukcji poetyckiej.

Jako niebezpieczeństwo trzeba natomiast zasygnalizować pewne skłonności do schematyzacji — zarówno w jednym jak i w drugim utworze ostrze walki klasowej błyska

Drukiłłość

Andrzej Drawicz

KRYSZYNA PAŁYS

OLEJARNIA W BODACZOWIE

NAD Bodaczowem przelatują nisko szare, ciężkie chmury, z których odrywa się co jakiś czas ukośna ściana jesiennego deszczu i sieć drobniutkich kropelkami w okna chatup. W jesiennym szarudzie jeszcze boleśniej wspominać biedę sprzed lat tej wielkiej, bo liczącej blisko dwa tysiące dusz a trzy i pół setki numerów wsi.

— Taki dzisiaj niewesoły dzień, jak moje dawne życie — powiada Franciszka Banachowa, wdowa i matka trojga dzieci, patrząc na ogarcone liści i budyli chatup, na pochyloną ku ziemi stodołę.

Wspomnienia ciężkiej przeszłości są codzienną śpiewką nie tylko Banachowej, mówią o nich wszystkie starsze kobiety we wsi, ponieważ Bodaczów stanowił największą wyspę nędzy na niezmiernych posiadłościach hrabiów Zamojskich. Cukrownia Klemensów z jednej, dwudziestohektarowy park z drugiej, a za nim łańcuch majątków przeplatany lasami, przypominały co dzień mieszkańcom tej wsi, że pod wspólnym niebem istnieją dwa światy.

Zamojscy gromadzili wspaniałe zbiory cennych dzieł w zwierzyniackiej bibliotece, szczytując się „białymi krukami”, stawiali stajnie — palace dla koni wyścigowych w niedalekim Michałowie, a dzieci bodaczowskie nabawiały się grzylicy i jaglicy w czteroklasowej szkole,

Przemysł olejarski nie mógł z powodu trudności od niego niezależny należeć zorganizować produkcję i mimo istniejącej ochrony celnej na oleje lniane i rzepakowy, produkowane w dużych ilościach w Polsce, olejarnictwo nie jest w stanie zatrzymać w kraju wszystkich ilości nasion olejowych celem przerobu ich we własnych wytwórniach.

Rozwodził się potem inżynier Podraszko szeroko nad tym, jak to rząd ówczesny zadowolony się należeniem cła na gotowy produkt, a surowiec wywozono w jesieni każdego roku w dużych ilościach, tak że na wiosnę przy końcu sezonu, dla pokrycia zapotrzebowania fabryki, musiano sprowadzać do Polski nasiona oleiste z krajów zamorskich. Przemilczał tylko „dyskretny” inżynier, kto krył się za tymi wszystkimi machinacjami celnymi, czy wywozowymi i w czym interesie musiano sprowadzać zagranicę nasiona po cenach o wiele wyższych od cen otrzymywanych za len i rzepak.

Jaki udział przypadł koncernowi „Unilever” z samej tylko sprzedaży nasion, mówi najwyraźniej ta mała statystyka:

Obrotów nasionami olejowymi w kraju wynosiły:

w roku 1926 — 12.896 ton
w roku 1927 — 22.620 ton.

Przywóz nasion olejowych obliczono:

w roku 1926 na 11.525 ton
w roku 1927 na 25.331 ton.

Polski przemysł tłuszczowy był więc całkowicie uzależniony od dostaw koncernu.

Inżynier Podraszko przeszedł również do porządku dziennego nad sprawkami polskich karteli, nie dopuszczających podówczas chłopu do uprawy roślin przemysłowych, bo oznaczałoby to ograniczenie obfitych zysków ziemianników, stojącego razem z finansjerką u steru „nawy państwowej”.

A czy mógł chłop bodaczowski kupować makuchy, gdy jego dzienny budżet rodzinny wahał się w granicach od 50 groszy do złotego?

BĘDZIE FABRYKA...

Zmiany powojenne zaczęły się od przyjazdu nowego kierownika szkoły. Zaraz na wstępie zwołał on zebranie, na którym wyłożył jasno, że nauka w ciasnych, chłopskich izbach nie przyniesie wielkiego pożytku. Jak Bodaczów Bodaczowem, nie zabierało tylu ludzi głosu i nie sprzeciano się tak gorąco jak na tym zebraniu, skończyło się na uchwałę, zobowiązującą gromadę do budowy szkoły wspólnymi siłami.

Zakupili potem plac przy szosie, zdobyli materiały i przy pomocy gminy wystawili obszerny barak z korytarzem, wybrukowali podwórko i założyli ogródek. Od trzech lat uczy się tutaj dzieci już w pełnej, siedmioklasowej szkole.

Nie dawało jednak kierownikowi spokoju, że młodzież, która wyszła ze szkoły przed jego przyjazdem do wsi, zbija baki, chodzi na ryby, albo pasie krowy. Zebrał więc tę gromadkę, poduczył i wysłał na egzamin wstępny do Liceum Pedagogicznego w Szczepleszynie. W taki to sposób wyszli na nauzczyli Mieczysław Duda, potem Henryk Pomarański, a w tym roku kończy liceum Janina Borowska. Syn biednego szewca Złób wyjechał do szkoły kartograficznej w Warszawie, Czesław Kupiec i Hanulak dostali się do wojsku stopni oficerskich.

Starzy nie spodziewali się dla siebie zmiany nawet wtedy, kiedy to na polach oddzielających wieś od parku pojawili się ludzie z aparatami mierniczymi. Alboż to raz widzieli geometrów na polach.

— Będę budować fabrykę — opowiadało za kilka dni w każdym domu.

— Może tam za jakich dziesięć lat i będzie ta fabryka, wiemy jak budować cukrownię w Klemensowie — podkreślali z rezerwą gospodarze uchodzący za najbardziej doświadczonych. — Niejednemu jeszcze raz urodzi się żyto na miejscu, gdzie ma być fabryka — zapewniali.

A tymczasem w drugiej połowie kwietnia zaroilo się na polach od ludzi. Przyjmowano do roboty każdego, kto miał dobre ręce i zdrową rękę. Na plac budowy zaczęli sięgać pieszo i z wozami chłopi z Wielicy, Niedzielski, Sasiadki, Rozluk, Michałowa a najwięcej z Bodaczowa. Trzy setki wozów przewoziło ziemię na nasyt pod bocznicę kolejową, która miała połączyć przyszłą fabrykę z torami w Klemensowie. Na trzech kilometrach wysypano 50 tysięcy metrów sześciennych ziemi.

We wrześniu kończyli wykop pod betonowy przyczółek. Bez koszul, w gumowych butach stali po kolana w mule rzeźnym i wyrzucali z oszalanego dołu szlam. Przy ręcznej pompie pracowała Fela Misiarz. Była to jej pierwsza okazja do zarobku, bo nie łatwo go znaleźć dziewczynie z ukończoną drugą klasą szkoły podstawowej. Misiarzówna spuszczała w dół oczy i tłumaczyła się, że nauka jej nie szła, dostawała od czytania zawrotów głowy.

— Ej nie było to od czytania, ale od zaduchu, w jakim dawniej siedziały w szkole bodaczowskie dzieci w wynajętych chatupach. — prostował Tomasz Pilip ze Szczepleszyna. — Dobrze wiem jak to było, bo

sam kiedyś pracowałem jako woźny. Przyszedłem tutaj, bo i zarobek lepszy — no i zadowolona więcej. Fokąże kiedyś moim wnukom ten most na Swince, fabrykę i powiem: Patrzcie, to stawał nasz dziadek!

Kiedy wielki trzykilometrowy wał nasypu sięgał już placu fabrycznego i wykopów pod fundamenty, na drugiej stronie 47-hektarowego placu ruszyła z miejsca produkcja cegły — cementówki i prefabrykowanych elementów do konstrukcji dachu.

Od strony parku roilo się jeszcze od furmanek, a od Bodaczowa rosły stopy cementówki. Na tablicy przedowników pracy pojawiło się nazwisko Jana Karola, wyrabiałego ze swoją brygadą 200 proc. normy. Nie upłynęły dwa tygodnie od tego czasu jak na całej budowie opowiadano, że córka małorolnego chłopca z Niedzielski Zofia Nosal awansowała na brygadierkę w grupie transportu wewnętrznego. Potrafiła tak zorganizować pracę, że nigdy nie notowano w jej brygadzie mniej od tego, co wyrobił Karol.

A materiałów do budowy trzeba było coraz więcej, bo zbrojarze i murarze wprawiali się w robotcie. Małorolny kowal z Niedzielski, Karol Lewiński, który dotychczas nie wychodził z wiejskiej kuźni, na budowie szedł w zawody z wykwalifikowanym zbrojarzem Janem Gardziellem i nigdy nie zapisywano mu mniej od 125 proc. Zdystansował go po jakimś czasie Henryk Ciurysek.

Zamojscy murarze założyli na tej budowie całą szkołę. Franciszek Suchowicz, doświadczony fachowiec, dla którego 300 proc. normy było zawsze wydajnością pracy do osiągnięcia, miał nie byle jaką pomoc. Janina Jarczyńska drobna i szcuple ale bardzo energiczna, dowodziła brygadą podręcznych w spódnicach. Opowiadały, że zarabiają w ciągu miesiąca tyle, ile ma doходу niejednego bodaczowskiego gospodarza. Po sprawdzeniu w aktach budowy okazało się, że nie przesadziły. Jest tam zaświadczenie z Gminnej Rady Narodowej, w którym mowa o rocznym dochodzie 2.200 zł z dwóch hektarów ziemi, a podręczne otrzymywały po 700 zł miesięcznie.

W Brygadzie Jarczyńskiej odszukałam Justynę Banach, córkę wdowy Banachowej, która porównywała swoją przeszłość do dzisiejszego jesiennego dnia. Justynka jest daleka od myśli matczynej, dla niej nawet dzień dzisiejszy jest już przeszłością, bo całe zainteresowanie młodej dziewczyny biegnie w przyszłość, planuje jak sobie ułożyć życie, gdy stanie do roboty w nowej fabryce. Brat jej po ukończeniu szkoły pracował w lecie też na budowie i nie wiadomo, czy nie wyjedzie uczyć się dalej na koszt Lubelskiego Zjednoczenia Budownictwa Przemysłowego, które już wysłało do Wrocławia Wacława Pysia na studia techniczne.

Justyna nie patrzy na począznie w szarudzie jesiennych chat, ale zatrzymuje wzrok na pierwszym bloku osiedla robotniczego, odcinającym się żywo, czerwona plamą na szarym tle zbutwiałych strzech. W kilku miesiącach wyrósł już jeden, na drugi rok będzie ich cztery a pod koniec robót budowlanych — dwadzieścia. W takim osiedlu chciałaby mieć Justynka mieszkanie, bo ani ona, ani jej rówieśnicy już z tej fabryki nie odejdą.

„EKSTRAKCYJA”

Starzy wybierali się jeszcze zbierać ziemniaki w tym miejscu, gdzie stoi dwupiętrowy, olbrzymi biurowiec. Okazało się, że nie zdążyli ich wykopać, dostali odszkodowanie. Wielki blok w kształcie dużej litery „T” jest już na wykończeniu. Tam gdzie wysokie okna sięgają drugiego piętra, będzie sala teatralna, kinowa, biblioteka i czytelnia, jakich niejedną chatę z Bodaczowa w życiu swoim nie widział.

W maju słowo „budowa” oznaczało tylko zniwelowany plac i rosnący nasyp kolejowy, w czerwcu rosły już mury biurowca, w lipcu pięta się w górę tłocznią, w sierpniu dziesiątki łopat wgrzywały się w ziemię tam, gdzie stanie kotłownia i ryły składowy teren pod fundamenty „ekstrakcji”, we wrześniu na fundamentach rozpoczął się wyścig murarzy wzwyż.

Cudaczne dla bodaczowskiego słowa „ekstrakcja” przestało być zagadką. Każdy z nich już wie, że w prywatnych olejarniach zamojskich, gdzie olej tłoczono takim samym sposobem jak przed stu laty, marnowało się wiele tłuszczu. Dlatego w kombinacie dawny system tłoczeniowy zastąpiła metoda ekstrakcji ciągłej, pozwalająca wyciągnąć z nasion o 6 — 7 procent więcej tłuszczu. Do tego są potrzebne maszyny, które już nadchodzą z Niemieckiej Republiki Demokratycznej z i Wegier. Wylądowały dotychczas 30 wagonów różnych części, a montaż rozpocznie się w przyszłym roku.

A makuchy — makuchy, o których pisał inżynier Podraszko?

Przy fabryce stanie magazyn — silos, największy w Polsce gmach o 14 piętrach, z którego pompy pneumatyczne będą przesyłały do tłoczni nasiona lnu i rzepaku a stamtąd do ekstrakcji. Wysiodki i sruta nie pojadą za granicę, będzie je jadało nie tylko bydło z Bodaczowa, ale z całego województwa we wsiach, majątkach PGR i spółdzielniach produkcyjnych.

Krystyna Pałys.

JAN ŁAZARZ

U D E R Z W S T Ó Ł...

Polemika z ob. Jelonekiem z Porąbki, zamieszczona w ostatnim zeszytowanym numerze „Wsi” dowodzi, jak potrzebne jest dla aktywnego terenu stale czuwanie prasy nad życiem świetlicy wiejskich. Ale jeśli w polemice zwrócono uwagę na brak opieki materialnej nad świetlicami, jako przyczynę załamania się życia świetlicy w Porąbce, to nie od rzeczy będzie powiedzieć o innej przyczynie „usychania” tych świetlic, które poprzednio „kwitły”.

Tą przyczyną są niejednokrotnie skutki zaostrenia się walki klasowej w ogóle — w skali międzynarodowej i w Polsce — a w szczególności u nas, na wsi.

Walkę klasową na terenie świetlic widzimy nie od dziś. Ale czy aktywni wiejski uświadomili sobie całą różnorodność przejawów walki klasowej na tak specyficznym odcinku, jakim są świetlice? Niedawno jeszcze, bo dwa lata temu na pierwszy plan walki wysuwano sprawę repertuaru zespołów artystycznych. Walka o nowy repertuar przesłoniła inne zjawiska w świetlicach. Jakże wymowny jest fakt, że w ankietach świetlicowych Zw. Samopomocy Chłopskiej w punkcie dotyczącym zarządów świetlic brak było do końca 1949 r. rubryki o przynależności organizacyjnej i klasowej członków zarządów świetlic? Prowadzono walkę o nowy repertuar, ale zapomniano o badaniu, kto kieruje życiem świetlic? Może myślenie, że w procesie wprowadzania nowego repertuaru samorządnie będzie się w świetlicach dokonywać zmiana: reakcyjne nastroje członków zarządów świetlic odejdą sobie, a na ich miejsce bezboleśnie wejdą inni?

Widziano wówczas takie np. przejawy walki klasowej na terenie świetlic, jak próby rozpędzenia młodzieży, jak ograniczanie pracy świetlic wyłącznie do zabaw, z bufetem alkoholowym, jak poszczególne wysoki kulaćki w postaci wybiecia szyb nocą w lokalu świetlicy itp.

A były przecież i inne zjawiska. Aktywni polityczni gromadzi starali się upolitycznić pracę w świetlicy i kiedy młodzież na miejsce „Panny rekrutem” wprowadziła na scenę za ledwie — „Mesele Jagny” z jej siabym jeszcze antykułackim ostrzem, już niektórzy ówczesni „fachowcy” od prowadzenia zespołów, chórów i zdążyli zrezygnować z pracy w świetlicy pod różnymi pozorami, uprawiając za sobą część młodzieży. Pozbawiali resztę uczestników świetlicy kierownictwa, obznanego z techniki pracy świetlicowej i w rezultacie doprowadzali do „usychania” świetlicy.

Takich rzeczy jakoś nie analizowano się wówczas i nie tłumaczyło aktywności, że za przypadkowym „pokioćniem się” kierownika zespołu z zespołem, że za wymową nauczyciela: „obecnie za dużo mam zajęć zawodowych, aby udzielać się świetlicy” — że za tym wszystkim może się ukrywać inna przyczyna: ludzie ci odchodzą ze świetlicy, bo nie odpowiadają im kierunek pracy, nadany ogólnie i poparty przez masę pracujących chłopów, ich synów i córki. Odchodzą nie cicho i spokojnie, ale starają się

świetlicę rozbić, zniszczyć jej dorobek. W przeciągu krótkiego czasu psuje się lub znika radio, giną gry, ktoś zabrał stół, który poprzednio ofiarował świetlicy i tak dalej. Przypadek, chwilowy brak opieki, czy zupełnie co innego?!

Mieliśmy oczywiście wiele setek wypadków, że żywiołowo powstawały zespoły na nowo, kierownictwo obejmowali nowi ludzie, praca postępowała dalej, do zniszczenia i „uschnięcia” nie dopuszczono. Jednakże procesem tym nie kierowali się z pełną świadomością.

Rok 1951 był rokiem wielkich bitew klasowych na wsi: akcja skupu zboża w lutym — marcu, na „wielkim placu budowy” wyrastały i wyrósł setki kombinatów i gigantów, walka o wykonanie zobowiązań wsi wobec państwa na jesieni, walka o tworzenie i umocnienie spółdzielni produkcyjnych. W wyniku tych walk kryształuje się aktywny społeczny na wsi: oczyszczają się szeregi partii politycznej, stary aktyw wzmacnia się, ubojawia, wyrasta nowy aktyw bezpartyjny, zdemaskowani zostają w oczach mas kułacy, ich poplecznicy i obrońcy.

Czy mogą te procesy nie znaleźć odbicia na terenie świetlic? Historia świetlicy w Porąbce zdaje się być wyraźnym tego przykładem. Warto, żeby ob. Jelonek zastanowił się nad tą stroną zagadnienia i poszukiwał ukrytych sprężyn rozbicia pracy w świetlicy. Bo wróg pokonany na jednym terenie szuka odwetu na innym, bo z każdą porażką zaciekłość jego i nienawiść wzrasta, zmieniają się jego metody walki z tym co postępuje.

Nauki III Plenum KC PZPR są zawsze aktualne i warto, aby aktywni polityczni na wsi jeszcze raz zastanowili się nad nimi w odniesieniu do świetlic. Warto też zastanowić się nad realizacją trójjedynego hasła leninowskiego, jeśli chodzi o świetlice, ich zarządy, ich aktywny.

Obserwujemy, że z wielu świetlic zniknęły tańce i zabawy. Walczyły się kiedyś z nadmiarem zabaw, do których często sprowadzała się cała działalność świetlicy. Nasuwa się pytanie, czy całkowity zanik zabaw w świetlicy jest pożyteczny i zdrowy? Badamy tę sprawę. Okazuje się, że zabawy nie odbywają się, bo wynikają awantury, bojkoty, dochodzi do demolowania lokalu. Aktywni świetlicy nie potrafią sobie z tym poradzić. Jeśli wejrzeć głębiej okazuje się, że chuligaństwo wywoływane jest celowo. Mamy do czynienia nie z przypadkiem, ale z robotą celową, zmierzającą do rozbijania świetlic, do demoralizowania młodzieży, odciągania jej do świetlic i oddawania pod kontrolę kłechy — reakcjonisty, sprzymierzonego z „bikiniarzem” i kułakiem. Jak np. w Otmęcie pow. Strzelec, gdzie cała szajka łobuzów urządziła burdy przed miejscowym kinem, odstrężając spokojnych ludzi od chodzenia na filmy.

Kulturalna rozrywka w świetlicy, zabawa bezalkoholowa, szczególnie połączona z występami zespołu artystycznego, są to również formy oddziaływania wychowawczego, które potrafią przyciągnąć do świetlicy i

do pracy w świetlicy wielu takich, których w inny sposób nie udało się ogarnąć. My wcale nie jesteśmy przeciwko wyrażaniu radości życia w tańcu i w zabawie towarzyskiej, przecież tworzymy życie pełne radości, wolne od wszystkich zmór, nękających ludzi w stroju kapitalistycznym.

Zupełny brak form zabawowych pracy w świetlicy zwięza jej zasięg i możliwości oddziaływania. A bywa przecież tak, że kiedy wróg zmusił świetlicę do rezygnacji z urządzania zabaw, to niekiedy krótkowzrostny aktywista cieszył się pracą w świetlicy „spowazniała”. Zwycięstwo w walce klasowej na tym odcinku polega nie na wyrzuceniu się zabaw, ale na energicznym położeniu kresu wybrakom chuligańskim siłami kolektywu świetlicy, aktywu politycznego gromady i przy współdziałaniu władz państwowych.

Jednym z centralnych zagadnień w realizacji Planu Sześciolatniego jest dla wsi zwiększenie tempa wzrostu produkcji rolnej.

Jest zwykle w gromadzie kilku mało i średniorolnych, otrzymujących rokrocznie wyższe przeciętne plony, lepsze wyniki hodowli przy równych mniej więcej warunkach gospodarczych z innymi chłopami. „Dobrze gospodarują”. Rzeczywiście, znajdziemy u nich w gospodarstwie zbiornik na gnojówkę, prawidłowo przechowuje się obornik, kompost, prawidłowo stosuje się nawozy sztuczne, sieje rzędowo, dokonuje podorywki, niszczy chwasty, stosuje popłony i śródpłony, silosuje pasze itd. itp. Zadaniem świetlicy będzie upowszechnić w gromadzie ich doświadczenie, przekonać resztę chłopów do stosowania podobnych metod gospodarowania. Jak to zrobić? Trzeba posłużyć się różnymi formami pracy. Będzie to systematyczne wyróżnianie produjących gospodarzy w gazetkach ściennych, zamieszczanie ich fotografii, może wycinków z prasy, w której ukazywali się o nich wzmianki. Można następnie zastosować formę od dawna praktykowaną w ZSRR, a i u nas spopularyzowaną już w Polskim Radiu: urządzenie wieczorów artystycznych na cześć produjących rolników. Każda piosenka, każdy występ zespołu dedykują przewodnikom w nagrodę za ich osiągnięcia.

Jeśli świetlice uda się w ten sposób wytworzyć sprzyjający klimat w gromadzie dla walki o wydajność rolnictwa i pobudzić współzawodnicтво w tym kierunku, o ile łatwiej pójdzie organizacji kursów rolniczych, pogadanek, w których produjący rolnicy ze wsi i gminy w swobodnej rozmowie z młodzieżą i dorosłymi będą się dzielić swoim doświadczeniem i wiedzą.

„Świetlicowe” środki oddziaływania powinny pomóc aktywnym gromadziarzom w wytworzeniu takiej opinii publicznej, która zmuszać będzie w podciąganiu się do poziomu produjących rolników całą wieś, do uczenia się na kursach, zaglądania do podręczników, do korzystania przez niezdolnych z pomocy POM-ów i SOM-ów, do pilnowania pomocy sąsiedzkiej.

Jan Łazarz.

HENRYK WANDOWSKI

BEZIMIENNI BOHATEROWIE

Opowiedziane przez Hitlera dzięki bojówkom faszystowskim władzy w pamiętnym 1933 roku było groźnym symplem dla świata. Zanim jednak doszło do „anschlusu” Austrii, aneksji Czechosłowacji i napadu na Polskę, faszystów w Niemczech zrobił swoje. Niesłychany wprost terror i towarzysząca mu propaganda szowinistyczna hitlerowska miały zlikwidować wszelkich wrogów wewnętrznych „narodowego socjalizmu”. Ale ani „pomysłowa” propaganda, ani ostawione obozy koncentracyjne nie mogły skutecznie wykorzystać ze świadomości ludzkiej tego, co od dziesiątków lat stanowił przedmiot dążeń proletariatu niemieckiego. Świadomość stanowiła często twierdzący niezdobyty. Kazała ona także ludziom walczyć. Walczyć bezwzględnie. Walczyć wytrwale.

Walka ta była tematem pasjonującym wielu postępowych pisarzy niemieckich. Jan Petersen jeszcze raz powraca do niej*, składając hołd jej bohaterom. Pisarz poświęcił zbiór swoich opowiadań „nielegalnym” bojownikom antyfaszystowskim, nieznanym, bezimiennym bohaterom”. Opisuje w nich dzieje Niemieckiego Ruchu Oporu w latach 1933 — 1935.

Autor „Naszej ulicy” daje w swoich opowiadaniach niezwykle sugestywny obraz walki Niemiec podziemnych z brunatną przemocą. Toczyła się ona w warunkach dla konspiracji bardzo ciężkich, jeśli zważywszy, że hitlerowski aparat przemocy miał do swojej dyspozycji nie tylko tajną policję, ale i dobrorowe oddziały esesmański. Oddziały te skupiające najróżnorodniejsze szumowiny społeczne właśnie tutaj, w walce z konspiracją, zdążył egzamin tak dobrze powtórzony w Oświęcimiu czy Majdanku.

W opowiadaniu pt. „Zmiana war-

ty” Petersen opisuje hitlerowskie metody znęcania się nad więźniami. Oto w podziemiach gmachu policji berlińskiej uwięziono setki podejrzanych o „robotę antypaństwową” ludzi. Aby wymusić na więźniach zeznania, poddaje ich codziennej „gimnastyce”, polegającej na wykonywaniu przysiadów aż do wycieńczenia. Gdy to nie skutkuje, goni się ich długimi korytarzami, a następnie zmusza do dźwigania długich żelaznych szyn. Ci zaś, którzy i tę próbę zwycięsko przetrzymują, poddani zostają zimnej kąpiel. Gdy i jeszcze teraz nie przynajają się do winy, albo odmawiają składania zeznań, pozostaje ostatnia, chamska, metoda, bicie po twarzy i bezlitosne kopanie umęczonych więźniów żołądkami buciarami.

W opowiadaniu „Ulica” przedstawiono walkę ulicy proletariackiej i areztowanie najaktywniejszego działacza dzielnicy, robotnika Franca. W komentarzu odautorskim Petersen mówi:

„Ulica jest długa, domów jest wiele, wszędzie zęgnają Franca na zawście. A z wilgotnych podwórzy, z ciastnych izb wyłaniają się czerwone punkciaki, ciągną na ulicę, szeptują w jeden nurt i stają się czerwonymi sztańdarem. Sztańdar ten wisi niewidzialny, ale mimo to potężny wśród fasad domów, a na jego szczytach kołysze się krepka. Nad nim błyszczą transparenty: Ulica walczy dalej!”

Klasa robotnicza i postępową inteligencją nie tylko walczyły z faszystowską dyktaturą. Obok tego prowadzili także szeroką akcję pomocy rodzinom proletariackim. Aresztowanie działacza rewolucyjnego powodowało głód i nędzę wśród rodzin robotniczych. Przeprowadzano więc akcje zbiorowe, których rezultaty dzielono pomiędzy te rodziny, gdzie ojciec czy syn przebywał w więzieniu. Wzruszający epizod udzielania pomocy materialnej rodzinom aresztowanych skreślił Petersen w opowiadaniu „Nieznani przyjaciele”.

Jan Petersen, który sam przez cały okres rządów Hitlera pracował

w Niemieckim Ruchu Oporu, napisał te opowiadania na podstawie własnych przeżyć i doświadczeń. W książce jego daremnie szukalibyśmy nuty pesymizmu. Wprost przeciwnie. Więźniowie w obozach nie tracili nadziei, że krew ich nie idzie na marne, ale wpatrzyli w przykład bohaterów przeszłości Ernesta Thaelmanna, Wilhelma Liebknechta i Róży Luksemburg znośli najgorsze przesładowania. Tym zaś, którzy byli jeszcze na wolności, dawała sił do dalszej walki świadomość, że szeregi armii podziemnej rosła. Wielu, tak jak Emilia i Franca z opowiadania „Rozproszeni”, cechowała chwiejność, ale sumienie Niemiec, wolne radio, pomogło im w odalenzeniu właściwej drogi:

„...Uwaga! Uwaga! Tu mówi Radiostacja Wolnych Niemiec! — Franca coś chwyciło za gardło. A więc to prawda. Wątpił, chociaż już od tygodni o tym słyszał. Opowiadali towarzysze partyjni, nawet ludwie nie interesujący się polityką, napomkali ostrożnie w swoich rozmowach: antyhitlerowska stacja nadawcza co wieczór nadaje wiadomości. Nazywa się „Radiostacja Wolnych Niemiec”. Zdawało się, że to jest niemożliwe i nie do pojęcia. A tymczasem w tej chwili staje się rzeczywistością. Gdzieś tam stoi jakiś nieznamy mężczyzna przed mikrofonem i mówi, nie lęka się śmierci, byleby głos prawdy mógł zmarznąć i nie zginąć. Gdzieś w kraju przemawia ktoś bezimienny, zakonspirowany, a słowa jego docierają do setek tysięcy ludzi. Docierają do malej chaty niemieckiej wsi. I co za słowa! Sądzą, oskarżają, a teraz znowu dodają otuchy i pewności. Co za słowa! Jakże bogate w treść wydają się one w tej atmosferze, przepięknej kłamstwem, zdradą i śmiercią!”

Opowiadania Petersena nasuwają nieodpartą refleksję, że bezimienni bohaterowie nie gineli na marne, że przelana przez nich krew przyczyniła się do powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Henryk Wandowski



Foto WAF

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Siła patriotyzmu radzieckiego

Z RÓDLEM zarówno bohaterstwa pracy ludzi radzieckich, jak i nieśmiertelnego bohatera w walce naszych żołnierzy na froncie jest gorący i twórczy patriotyzm radziecki. Siła patriotyzmu radzieckiego polega na tym, że podstawa jego są nie przesady rasowe czy nacjonalistyczne, lecz gorące oddanie i wierność narodu swej Ojczyźnie Radzieckiej, braterska przyjaźń ludzi pracy wszystkich narodów naszego kraju.

(Z referatu J. Stalina, wygłoszonego na uroczystym posiedzeniu Moskiewskiej Rady Delegatów Ludu Pracującego w dniu 6 listopada 1944 roku z okazji 27 Rocznic Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej).

Wśród miast - bohaterów, których obrona podczas wojny z najazdem hitlerowskim stała się historycznym świadectwem wielkości siły patriotyzmu ludzi radzieckich, Leningrad, tuż obok Stalingradu, zajmując jedno z miejsc przodujących. Dwa miasta, noszące imiona Wielkich Wodzów Rewolucji Październikowej, heroizm swych umundurowanych i cywilnych obrońców kładąc nieprzebyte tamy pochodowi hitleryzmu, uniemożliwiły się w dziejach zmagania z faszyzmem jako wzory bezprzykładnego męstwa i wytrwałości.

900-dniowe oblężenie i blokada Leningradu, jeden z najbardziej dramatycznych fragmentów drugiej wojny światowej, znalazła, podobnie jak epopeja stalingradzka, swą literacką dokumentację w utworach pisarzy, którzy przeżyli ten ciężki okres w północnej stolicy radzieckiej i wyrwali aż do dna zwycięstwa. Do utworów z tego zakresu tematycznego, znanych już z przekładów czytelnikom polskim („Opowiadania leningradzkie” M. Tichonowa, „Pieśń o życiu” Olgi Matuszkiej, „Oblężone miasto” Wery Inber), należy również zaliczyć wydaną ostatnio powieść Heleny Katerli pt. „Rodzina Stożarowych” *)

Jest lutego roku 1942. Od szeregu miesięcy trwa już blokada Leningradu przez armie Hitlera, a jedyną — wątlą i niepewną — nicią połączenia miasta z zapleczem jest stała ostrzeżliwa droga przez jezioro Ładoga. W oblężonym mieście nie ma elektryczności, gazu, wody, tramwajów. Ewakuacja objęła niektóre instytucje, zakłady przemysłowe i część ludności; pozostali mieszkańcy cierpią srogi głód i wszelkiego rodzaju niedostatek, giną setkami od pocisków i bomb lotniczych, z chorób, zimna, wycieńczenia.

W takiej sytuacji ogólnej, jedna z fabryk leningradzkich otrzymuje od władz centralnych zarządzenie podjęcia remontu uszkodzonych na przedpolach miasta czołgów. Dyrekcja fabryki, zdając sobie sprawę z konieczności tej pracy, zarządzanie przyjmuje i bierze odpowiedzialność za jego wykonanie, choć wie doskonale, że będzie to przedsięwzięcie wprost nadludzko trudne w danych warunkach obiektywnych.

Fabryka bowiem jest na wpół zrujnowana wskutek bombardowań; nie ma w niej światła, siły pednej, ogrzewania; instalacje i maszyny zostały częściowo wywiezione na Ural, zaś to, co z nich pozostało, jest w dużej mierze uszkodzone i nie nadaje się do natychmiastowego użytku. Na tym nie ograniczają się jednak suma przeszkód, piętrzących się przed dyrektorem Stożarowym i kierownikiem fabryki. Przeszkodą najtrudniejszą do przezwyciężenia jest stan załogi fabrycznej: zdziesiątkowały ją okoliczności wojny i blokady; robotnicy, którzy stawili się do pracy na wezwanie dyrektora, są to przeważnie ludzie wycieńczeni do ostateczności, chorzy, starający się z głodu, niedoln, zdawalioby się, do żadnego wysiłku.

Prywacie i dolegliwości fizyczne nie mogły nie wywrzeć niszczycielskiego wpływu na stan moralny i mniej odpornych jednostek. Zalamane się psychiczne nie tylko przedstawicieli inteligencji fabrycznej — inż. Ostomow, ongiś dzielny pracownik i racjonalizator, oznaki takiego załamania występują nawet w szeregach robotniczej młodzieży, jak dowodzi tego przykład pewnej komсомolki.

Lecz mimo to wszystko — nieprawdopodobne staje się możliwym: fabryka — w miarę najniebezpieczniejszych potrzeb — zostaje uruchomiona, warsztady zaczynają pracować, przybyłe z frontu uszkodzone czołgi są naprawiane i odsyłane w terminie. Istnieje bowiem siła, zdolna sprawić to, co bez przesady można nazwać cudem: cudem zmartwychwstania zniszczonej fabryki, cudem przywrócenia zdolności pracy zespołowi robotniczemu, który dobywa z siebie wszystkie zasoby energii, ofiarności i wytrwałości.

Niezmierzony patriotyzm ludzi radzieckich — to najpotężniejsza z tych sił, o których zbawczym działaniu donosi powieść Katerli.

Partia bolszewicka, najdoskonalsza wyrazieli i strażniczka tego patriotyzmu. Partia inspirująca i organizująca twórcze wysiłki małych i wielkich kolektywów, zarówno podczas wojny, jak w dobie pokoju — to również czynnik wagi decydującej, czynnik, gwarantujący celowość i skuteczność podjętych wysiłków, choćby miały być one okupione wieloma bolesnymi ofiarami, wyrzeczeniami i stratami. Organizator partyjny — Pietrow i przywódca fabrycznego komсомolu — Filin z powieści Katerli — to piękne, niezapomniane postacie aktywistów, zbrojnych w ścisłe bolszewicką siłę woli i charakteru, przenikniętych poczuciem własnej i zbiorowej odpowiedzialności wobec Partii i całej społeczności radzieckiej.

„Mieszkamy w oblężonej twierdzy mówi portoryg. Pietrow — i ani jeden człowiek w tej twierdzy nie może żyć sam dla siebie. Trzymamy się za ręce i wyrucamy, ponieważ wspieramy się wzajemnie i wierzymy w naszą sprawę. Wytrwamy, bo nasze zmagania to jedyna możliwa droga w walce o życie...”

Trzecią wreszcie siłą, która kolektyw fabryczny podtrzymuje i ożywia wiarą w ostateczne zwycięstwo, jest uczucie organicznej, niezachwianej jego łączności z całym walczącym narodem radzieckim, świadomość moraino-politycznej wspólnoty pomiędzy tymi co trwają na liniach frontowych, i tymi, którzy w oblężonym mieście, czy też na dalekich tyłach, nie opuszczają bezczynnie rąk, nie bacząc na żadne trudności, i acują dla wspólnego zwycięstwa.

W języku ludzi radzieckich to, co ma znaną i niewątpliwą bohaterstwa, nosi często bez porównania skromniejszą nazwę: spełnienie obowiązku. Tak właśnie było w fabryce, remontującej czołgi dla frontu. Wśród jej załogi wielu jest takich, których można by żywcem przenieść ze stron powieści na niezniszczalne karty heroicznego eposu.

Oto co czuje i myśli konwojent uszkodzonych czołgów — lejtnant Stożarow, przypatrując się nadludzkim wysiłkom fabrycznego kolektywu: „Może po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny lejtnant Stożarow, stojąc w zięjącej chłodem hali leningradzkiej fabryki, uwiarył z tak nieprzepartą siłą w zwycięstwo swojej ojczyzny. Zrozumiał bowiem, że ludzie, którzy mogą pokonać to, co zostało tutaj pokonane, przewyżniają wszystko. Nikt nie zdola zwyciężyć tego kraju, w którym każdy obywatel, świadom swej wspólnoty z całym narodem, jest nieodłączną jego częścią; wielkie cele ojczyzny stają się wtedy jego własnymi celami...” Historia w pełni potwierdziła słusność tych myśli i wniosków młodego Stożarowa.

Unikając schematyzmu i taniego patosu, autorka powieści umiejętnie zindywidualizowała postacie jej głównych bohaterów, którzy — niemal bez wyjątku — mają własny, bardzo ludzki, zarys osobny. Szkoła jednak, że kontrastowo negatywna w swym wnętrzu załamaniu postać inż. Ostromowa, jak gdyby została dopisana do końca. Wprawdzie w zakończeniu powieści znajdujemy słowa, sugerujące, że Ostromow przemił samego siebie i wrócił do czynnego życia w szeregach kolektywu, — autorka nie pokazała jednak, jak i dlaczego dokonała się ta przemiana. W analogicznym wypadku komсомolki Swierczkowej proces tego wewnętrznego uzdrowienia przedstawiony został znacznie wyraźniej i dokładniej.

Akcja „Rodziny Stożarowych” rozgrywa się w ciągu kilku dni. To ograniczenie w czasie narzuca autorce obowiązek zachowania reguł prostoty i zwięzłości w kompozycyjnym kształtowaniu całości. Dążenie do utrzymania się w ramach zamierzonej konstrukcji, miało — wśród wielu skutków pozytywnych — również pewien efekt ujemny: rola przypadku jest tu niekiedy zbyt wielka, a jego pomoc w zadzierzgnięciu i rozwiązywaniu węzłów sytuacyjnych — zbyt widoczna.

Podkreślić należy wysokie zalety stylu pisarskiego Katerli, jego niezwykłą plastyczność i sugestywność. Dzięki tym zaletom, opisy w „Rodziny Stożarowych” stają się często — obrazami, pełnymi dramatycznej i przekonującej wymowy w swych niemal wizualnych barwach i konturach. Do takich obrazów szczególnie urzekających precyzją i wyrazistością rysunku, zaliczyć można: nocną wędrowkę bibliotekarki fabrycznej po zamarłych i mroźnych ulicach oblężonego Leningradu, przejazd młodego Stożarowa z linii frontowej do miasta, zebranie Komсомolu nad trumną towarzysza, — nie mówiąc już o wielu innych epizodach, których treść nie mniej przejmujące i wzrusza.

Powieść Heleny Katerli, choć powściągliwa, nieraz może nawet surowa w tłumaczeniu uczuć, doznania i cierpień człowieka, przeniknięta jest przecież najgłębszą miłością radzieckiej ojczyzny i jej nieugiętych obrońców. Słyszemy niemal, jak serce autorki uderza zgodnym rytmem z tysiącem serc bohaterów tego zespołu fabryki, jak wzbiera dumą i radością z powodu zwycięstwa tego zespołu nad siłami śmierci, zniszczenia i rozpaczy. Prawdziwie



Bolesław Dudziński

tych uczuć dała autorka wyraz artystycznie szczerzy i trafny co stanowi niewątpliwie jej najcenniejsze osiągnięcie pisarskie.

Polski przekład „Rodziny Stożarowych”, na ogół poprawny i gładki, budzi jednak gdzieś tam pewne wątpliwości. Tak np. nie wiem dlaczego tłumaczki uparcie karmią żołnierzy radzieckich jakimś „szpikiem” (?), co — jak wynika już choćby z kontekstu — oznacza po prostu słoninę. Przytaczam ten casus dlatego, że wyraz „szpik” powtórzony został niewątpliwie w błędnym zastosowaniu — aż kilkanaście razy.

Bolesław Dudziński

ANDRZEJ SKIBA

Podpalacze „domów sąsiada”

JESZCZE w pierwszej połowie XIX wieku rządy Stanów Zjednoczonych przywłaszczają sobie „prawo i obowiązek” interwencji w wypadku, gdy „dom sąsiada płonie” („the neighbor's burning house” principle). Zasada ta od początku okazała się niezmiernie wygodna, ponieważ o tym, kto jest sąsiadem i czy dom jego płonie orzekały czynniki rządzące Waszyngtonu. Metoda została znacznie ulepszona na przełomie wieku, kiedy dla ułatwienia sobie akcji rewolucyjnej miliardery przystąpili sami do podkładania ognia w sąsiadów, gorliwie następcie ratowników.

Celował w tym ratownictwie prezydent Teodor Roosevelt, gorliwy poza tym wyznawca stosowania żelaznego drąga, zwanego przezeń „Wielką Pałką” — Big-Stick. Klasycznym przykładem były losy małej republiki murzyńskiej — Haiti. Po sprostowaniu w Haiti rewolucji Roosevelt kazał wywieźć w celu „zabezpieczenia” cały zapas złota banku państwowego. USA płaciły od tego „depozytu” bardzo niskie odsetki, ale to samo złoto „pożyczony” rządowi Haiti na wysoki procent. W kilkanaście lat później inny „dobroczynca” ludzkości, Wilson, wysłał do Haiti pięciotysięczny batalion USA, która zmasakrowała ludność stolicy Port-au-Prince po czym, pod groźbą karabinów, zmuszono parlament do ratyfikowania zupełnie rujnującego „traktatu przyjaźni” ze Stanami Zjedn. Od tego czasu grabienie małej republiki nie uszło.

Innym osiągnięciem Teodora Roosevelta był Kanai Panamski. Obszar dzisiejszej Panamy należał do Kolumbii, która jednakże godziła się na niekorzystne warunki USA. Roosevelt wobec tego kazał zorganizować na potrzebny mu terytorium „rewolucję”, ogłosił „samodzielność” republiki Panamy i na jej czele postawił w charakterze prezydenta swoją marionetkę, Manuela Guerrero. Nie potrzeba dodawać, że Stany otrzymały wszelkie koncesje, jakie chciały. Z prywatnej korespondencji Teodora Roosevelta wynika, że w tym samym mniej więcej czasie składali na rząd japoński do rozpetania wojny z Rosją i do podboju Korei w przekonaniu, iż kasztany wydobycie z ognia dostaną się Stanom Zjednoczonym.

Dziś w Niemczech Zachodnich i Japonii, we Francji, Bolliwii, na Filipinach i w Grecji Stany Zjednoczone sprawują niemal wszechwładne rządy. Dyktują skład gabinetów, politykę społeczną i gospodarczą, walutową i handlową. Przeważnie nie trują się organizowaniem podpałów w domu sąsiada, lecz „ratują” go nie oglądając się na preteksty i protesty. Pojęcie „sąsiada” uległo przy tym znacznemu rozszerzeniu: bazy wojskowe USA rozsiane są po całym świecie, ktokolwiek zaś ma niebezpieczeństwo sąsiedować z jedną z tych baz, uważany jest za „sąsiada” Stanów. Dla uplastycznienia metod stosowanych przez USA w rządzeniu sąsiadami przytoczymy zdanie zaczerpnięte z organu wielkiej finansjery „U. S. News” (czerwiec 1951): „Dostawy cyny dla USA z Bolliwii są dość zabezpieczone — o tyle, o ile może je zagwarantować armia bolwijska, która, rządząc obecnie tym krajem, zabroniła strajków i wprowadziła stan wojenny”.

MARCELI RANICKI

DIALOG O FALLADZIE

A CZYTAŁEM ostatnio powieść Fallady „Każdy umiera w samotności”. Jestem rad, że przeczytałem ją dopiero teraz, czyli półtora roku po ukazaniu się polskiego wydania. Gdybym bowiem nie znał wydanych u nas w ostatnim roku książek innych antyfaszystowskich pisarzy niemieckich, miałbym — na podstawie powieści Fallady — zupełnie mylnie wyobrażenie o antyhitlerowskim ruchu oporu w Niemczech w czasie wojny. Jest to przecież pseudorealistyczna potwiera, zbudowana na błędnych założeniach ideologicznych, powieść ujawniająca fałszywy, typowo dekadentki stosunek autora do zagadnienia niemieckiego w ogóle i niemieckiego ruchu oporu w szczególności.

B: Nie mogę się z Tobą zgodzić, choć przyznaję, że książka ta wzbudza poważne zastrzeżenia. Mimo licznych błędów jest to jednak dzieło, które proponuje głębokim humanizmem...

A: Nieprawda... skrajnym pesymizmem i...

B: Nie kłómy się, spróbujmy znaleźć wspólną płaszczyznę. O co ci właściwie idzie?

A: Przypomnij sobie fabułę powieści, która, już dobitnie świadczy o postawie autora. Majster Otto Quangel, stary mało uświadomiony robotnik, który nigdy nie miał nic wspólnego ze sprawami politycznymi...

B: Nie miał, ale jest zdecydowanym przeciwnikiem hitleryzmu i od lat odważnie i konsekwentnie odmawia wystąpienia do NSDAP.

A: Dopiero po śmierci syna, który padł na froncie, postanawia aktywnie walczyć z faszyzmem. Pięć tygodni kilka ulotek antyhitlerowskich, które podruca na kłatkach schodowych berlińskich domów. Jedyna osoba wtajemniczo-

na w jego działalność — to jego żona, kobieta poczciwa, ale ograniczona, Wysielki Quangla...

B: ...uporczywie i z wielkim poświęceniem kontynuowane przez kilkanaście miesięcy...

A: ...nie dają jednak żadnego wyniku. Prawie wszystkie ulotki zostają przez znalazców natychmiast oddane gestapo, które wreszcie aresztuje Quangla i skazuje go oczywiście na śmierć. Quangel ginie...

B: Dodajmy jednak, że w więzieniu Quangel zachowuje mimo wszelkich wymyślonych tortur niezłomną, bohaterską postawę, że ginie nie z przekonaniem, iż walczył o słuszną sprawę, która zwycięży.

A: Zgoda. Ale zastanówmy się teraz nad koncepcją tej postaci. Quangel jest skrytym dziwakiem, który żyje w całkowitej samotności. Osobista tragedia czyli utrata syna staje się bezpośrednią przyczyną jego przejścia do aktywnej walki z hitleryzmem. Do walki tej przystępuje sam, mimo, że wśród kilkuset — znanych mu resztą od lat — pracowników, zatrudnionych wraz z nim w fabryce mebli, są niewątpliwie robotnicy zdecydowani tak samo jak on na nielegalną walkę z przemocą faszystowską, mimo, że wie on — chociażby z afiszów obwieszczeniowych wyroki śmierci, o działalności grup antyfaszystowskich, mimo iż wie, że Truda, narzeczona jego syna, jest członkiem nielegalnej komórki. Izolacja Quangel nie jest więc wynikiem konieczności, a dziełem jego własnej uporczywej woli, dziełem, z którego jest dumny, nosząc swoją samotność jak sztandar. To oderwanie skazuje — rzecz prosta — akcję Quangla z góry na całkowite niepowodzenie. A przecież historyczna rzeczywistość walki antyfaszystowskiej w Niemczech wyglądała zupełnie inaczej.

Nosieliśmy bohaterskiego ruchu oporu nie były oderwane od lułu jednostki, jak fanatyczny samotny Quangel, nosicielem arcytrudnej walki z nierównym przeciwnikiem była przede wszystkim partia, której najlepszy członkowie organizowali w całym kraju grupy oporu. Toteż bohater Fallady wydaje mi się postacią nie wziętą z życia, a sztucznie skonstruowaną przez autora, postacią nieprawdziwą.

B: Częściowo masz rację, ale tylko częściowo. Organizatorem walki podziemnej w Niemczech hitlerowskich, był trzonem ideowym i motorem działania — była Komunistyczna Partia Niemiec, to jest bezspornie. Walczyli mniejsze czy większe grupy zorganizowane przede wszystkim przez starych działaczy KPD. To była główna forma walki niemieckich antyfaszystów, ale wcale nie jedyna. Gdy przeczytasz wyraźnie ostatnio także w polskim przekładzie listy niemieckich antyfaszystów, dojdiesz do wniosku, że — zwłaszcza w późniejszym okresie panowania hitleryzmu — mieliśmy w Niemczech także bardzo wiele wypadków indywidualnego oporu, a więc walki poszczególnych jednostek niezwiązanych z żadną organizacją czy grupą oporu. Byli to przeważnie ludzie, których negatywna, ale początkowo tylko bierna postawa wobec faszystów przeradzała się później — bądź to pod wpływem wzrastającego barbarzyństwa hitleryzmu, bądź też osobistej tragedii — w aktywną walkę. Oczywiście, że rozpoczęcie wysiłki tych samotnych jednostek, walka odoobniona i oderwana od głównego nurtu oporu antyfaszystowskiego w Niemczech, była jeszcze bardziej skazana na niepowodzenie. Ale — niezależnie od jej osiągnięć praktycznych — była to walka bohaterska i w swoich warunkach Trzeciej Rzeszy godna najwyższego podziwu, walka dająca szczególny ugięty w głębię tragedię uczciwych Niemców w państwie Hitlera. Takim właśnie bohaterem jest Otto Quangel, któremu zdrowy instyngt klasowy nakazuje od zarania hitleryzmu negatywny stosunek do bratnych władców. Tragedia jego polega na tym, że, przechodząc w latach wojny do czynnego oporu, ludzi się on, że walka indywidualna, oderwana i zawieszona w próżni — może być skuteczna.

A: W każdym bądź razie Quangel jest postacią nietypową i przynajmniej mi, że ta dokonana przez Falladę idealizacja samotnego bojownika, człowieka walczącego na marginesie ruchu oporu, jest w samym swym założeniu ideologicznie błędna...

B: Powiedziałbym inaczej: świadczy o niezrozumieniu przez autora podłoża społecznego odwróconego przezeń okresu, niemiecki...

A: Zgoda, ale sformułujmy dokładniej: Fallada, wychodząc z pozycji mieszczańskich, nie dostrzegł, że istota antyfaszystowskiego ruchu oporu był jego charakter klasowy, czyli że nielegalna działalność niemieckich antyfaszystów była tylko jednym z etapów walki klasowej w Niemczech. W tym chyba należy się doszukiwać przyczyn, iż bodaj, że wszystkie występujące w powieści postacie noszą piętno sztucznej, intelektualnej konstrukcji psychologicznej, niekiedy zresztą, świadczącej o dużym talencie autora.

B: Ze słusznego założenia wychodząc zbyt skrajny wniosek. Zdaniem moim, Fallada miał wielki dar tworzenia ludzi żywych, prawdziwych, zoopatrzonych w bogaty rezerw rysów indywidualnych. Przecież już w pierwszych rozdziałach

powieści Fallada wprowadza kilkanaście postaci, a każda z nich jest — przy minimalnym komentarzu autorskim — plastycznie wydobytą, każdą z nich żyje. Świadczy to nie tylko o nieprzeciętnym talencie Fallady, ale i przede wszystkim o tym, że są to postacie zaczerpnięte z życia...

A: ...ale postacie nietypowe, zaczerpnięte z życia, ale z jego periferii.

B: Zdaje mi się jednak, że nie w tym tkwi zło, a raczej w funkcjach, jakie tym postaciom daje w swą powieść Fallada. W tym ujawniają się granice talentu Fallady, granice jego światopoglądowego horyzontu.

A: Wybac, ale nie rozumiem.

B: Weźmy dla przykładu postać muzyka Reichhardta, którego Quangel poznaje w więzieniu. Jest to przecież sylwetka doskonale narysowana, ale — i tu tkwi zasadniczy błąd ideologiczny — temu szlachetnemu inteligentowi, którego antyfaszystowska działalność była w podobny sposób zawieszona w próżni, jak działalność Quangla, jemu właśnie przypisuje Fallada rolę człowieka, który uświadamia starego robotnika Quangla o konieczności życia w społeczeństwie, a nie poza społeczeństwem. Albo oryginalny dziwak, emerytowany radca sądowy Fromm: nie koncepcja tej ciekawej postaci jest zła, ale to, że właśnie ten samotny, żyjący także w oderwaniu starysek, jest tym, który zdobywa się na odwagę, by pomóc aresztowanemu Quangelowi przez dostarczenie mu truciizny.

A: Potwierdzam właściwie moją tezę, że wszystkie postacie są nietypowe, marginesowe...

B: Wcale nie wszystkie. Przecież listonosz Ewa Kluge jest postacią zdrową, mocną, w koncepcji doskonałą, postacią typową...

A: I właśnie konfliktu Ewy Kluge, która występuje z NSDAP, Fallada nie umie rozwiązać. Kaze jest uciekać z Berlina na wieś. Jest to jakby „emigracja wewnętrzna”, w której twórcą i okrutną rzeczywistością życia w państwie Hitlera autor zastępuje nagle nieprawdopodobną i słodką sielankę wiejską...

B: ...czym właśnie autor udawania, że konfliktu dobrze skonstruowanej postaci z proletariatu nie umie — natrafiając na granice swoich możliwości — rozwiązać. Znajduje więc wyjście w nieprawdziwym, typowo inteligenckim eskapizmie.

A: Dochodzimy zatem do wniosku, że Fallada nie widać klasowego podłoża azuła, klasowego uwarunkowania stworzonego przez siebie — częstokroć opartych na słusznych i przekonujących założeniach — postaci. Będziesz mi musiał jednak przyznać, że w niektórych wypadkach — mam na myśli zdemoralizowanego do reszty szpicza gestapo Borkhausena i piątego złodzieja jaskła Enno Klugego — stworzył Fallada postacie z proletariatu niemieckiego, oparte na tak błędnych podstawowych koncepcjach, iż są to twory — mimo najbardziej wymyślnego i precyzyjnego rysunku psychologicznego — nie mające już nic wspólnego z życiem, twory w najlepszym wypadku patologiczne. Nie są to więc postacie realistyczne, a raczej pseudorealistyczne.

B: Tak, ale dotyczy to tych dwóch postaci i może jeszcze jednej czy dwóch w stosunku do galerii kilku, ażeściec ludzi, jakich ukazuje nam Fallada w swej książce i nie sprawiedliwa twego uprzedniego twierdzenia, że mamy tu do czynienia z „pseudorealistyczną powieścią”. Przecież książka Fallady daje nam — mimo wszystkich błędów i braków — wstrząsający obraz Niemiec hitlerowskich. Jest to oczywiście obraz niepełny, częstokroć jednostronny, niekiedy wręcz zniekształcony, ale główne elementy tego obrazu, to głęboka nienawiść do ustroju faszystowskiego, to silna wiara w moralnie czystego człowieka, w majstra Quangla, który życie swoje poświęca walce z hitleryzmem i który jako oskarżony potrafi faszystowskiemu sędziom odważnie rzucić mocne słowa prawdy. Toteż z kart tej książki przebija głęboki humanizm.

A: Ale czytelnik jest przede wszystkim pod wrażeniem beznadziejnego pesymizmu. Przecież nie przypadkowo powieści swej nadał Fallada tytuł „Każdy umiera w samotności”. Jest to tytuł o tyle świetny, o ile rzeczywistość w pełni odpowiada treści utworu. W samotności umierają pozytywni i negatywni bohaterowie tej książki: majster Quangel, Quanglowa, Truda Hergesell, Enno Kluge, gestapowiec Esterich...

B: I w samotności umarł w 1947 roku Hans Fallada, wielce utalentowany pisarz niedawnej przeszłości, którego życie pełne wahań i kompromisów, którego twórczość pełna postawowych błędów i zasadniczych omyłek — jest jeszcze jednym i jakże interesującym przykładem dla poznania ogromnej i przecież po dzień dzisiejszy niesłusznej, wciąż jeszcze aktualnej tragedii narodu niemieckiego.

A: Powiadasz: „wiele utalentowanych pisarzy”. Zgoda, ale pozwól, że dodam do tego, co powiedział kiedyś Johannes Becher o Falladzie: „Er war kein Denker” — nie był on myślicielem, a to znaczy po naszymu: nie był on marksistą.

Marceli Ranicki

* Helena Katerli, „Rodzina Stożarowych”. Powieść. Tytuł oryginalny rosyjskiego „Stożarowy”. Przekład autorzowany Marii Grzeszczakowej i Natalii Starińskiej. Warszawa, PIW, 1951.

Andrzej Skiba

WOJCIECH KODRYŃ

„WĄTEK MIŁOSNY” W NOWYM ŻYCIU

MOJ przyjaciel, dziennikarz, upadł na ciekawy pomysł. Na zjeździe korespondentów pism ZSL-u przegadał prawie z potęgą delegatów jedną sprawę: „Macie koleżanki (macie kolegi) jaki list przy sobie od znajomych albo krewnych? Jeśli macie, to wypożyczcie. Zbieram materiały z życia prywatnego i rodzinnego”. Dostał około 20 listów a blisko 60 obiecano mu dostać. Przejrzałem te listy. Wybrałem trzy. Zawierają one tak bardzo w naszych współczesnych powieściach pomijany wątek miłosny.

Listy te stanowią dokumenty nowych warunków, nowych bodźców i nowych konfliktów miłości na wsi. Muszę podkreślić że są to listy „pierwsze z brzegu”, z przypadku, a także wymowne.

Oto 17-letnia dziewczyna zakochała się w 18-letnim chłopcu, który kształcił się w Kaliszu. Z listu trudno dociec czy on także pochodzi ze wsi, czego się uczy i w jakich poznali się okolicznościach. Na te pytania niech odpowie fantazja pisarzy i domysłność czytelników. Faktem natomiast jest, że dziewczyna na początku znajomości pytana, co robi — zgłębła. Ma 6 klas szkoły powszechnej i pracuje w rodziców na gospodarstwie a powiedziała, że „chodzi do handlowki”. Chłopak dopytywał się „czy ja też chodzę do jakiejś szkoły czy zawodówki?”. Oto, jak stanął nowy warunek miłości i cień nowego konfliktu. Dziewczyna w gniewnie oka zrozumiała jedno i drugie, dlatego skłamała. „Potem on przyjechał odwiedzić mnie do nas do domu i wtedy mu się przyznałam, że skończyłam tylko 6 klas i że przebywam w rodziców. Lecz on na to nie uważał i pisał mi do siebie wzajemnie listy”.

Myslicie, że wątek już wyczerpany? Raczej dopiero zaczęły.

„On otrzymał ode mnie parę listów a ja zaledwie od niego dwa, przestał pisać. Teraz nie wiem o sobie”. Z jakich powodów przestał pisać chłopak, nie łatwo odpowiedzieć. Może rozczarowanie do dziewczyny, która ugrzęźnię w gospodarstwie? Może bladość uczucia, które wraz z oddaleniem rozwiało się? Tak czy inaczej milczenie chłopca dobrze o nim nie świadczy. Bo, jak pisze dziewczyna „zapoznałam się... i bardzo mnie pokochał”. A z dziewczyną co? Był, wyjechał, nie pisze... więc popłakać i zapomnieć a na przyszłość mierzyć niżej i bliżej? Z dziewczyną stało się zgoda inaczej. Zawzięła się, „Od 11 stycznia 1952 r. będę się dalej kształcić, bo dopiero teraz przejrzałam na oczy, że człowiek bez szkoły nie ma wart i nie ma żadnego uznania”. Dzieje swej miłości powierzyła krewniej, chłopce — działaczce, aby od niej otrzymać radę, czy teraz, kiedy powzięta decyzja uczyć się dalej, kiedy na naukę ma być przyjęta już w styczniu — „napisać jeszcze raz do niego, czy nie?” I w tym pytaniu jak mi się wydaje, nad dojrzałość dziewczyny bierze górę dojrzałość nowego człowieka. Miłość stała się bodźcem do podniesienia się, do rozwoju, do osiągnięcia większej wartości i znaczenia. To „przejrzenie na oczy” jest szersze od samej miłości do chłopca z Kalisza. I nie wiadomo,

wybył on o wielkiej sile rewolucji i nowego życia na wsi. Dzieci kulackie wstępują klasowo w swoją rodzinę, wpływa na to wychowanie domowe i pozycja społeczna, jaką zajmują na wsi. Wpływa walka klasowa i izolacja kulaka. Ale dzieci kulackie dorastając widzą jaśniejszy od ojców zmierzch starej gospodarki, widzą latwiejszy urok nowego życia. Dopóki tworzą z domem organiczną całość, dopóty trzeba raczej sztykować się na ich opór i walkę, jeszcze bardziej „oswieconą” i jeszcze bardziej „unowocześnieją” w porównaniu ze starymi. Ale kiedy syn kulacki rozważa myśl opuszczenia gospodarstwa i podjęcia pracy na PGR-ze? Kiedy ten zamyślił w sobie nie kaprys rozwinzionej wyobraźni a mitozę do żony, biedniaczki?

Wtedy, jak widzicie, życie staje na przelocie. Nie ma tu podstępnego rozważania się. Rozstrzyga się los. Po jednej stronie „uwyszczenie” na bogacza, po drugiej — miłość, której cała treść i jakość należy już do nowego życia na wsi, do nowych czasów.

Chłopak pyta, czy tam, czy tu? Ale podkreśla „żonę moją bardzo kocham”. I pyta stryjka, który wiadomo, co odpowie, to co i why? Jeszcze się waha? Idź na PGR! Chłopak pragnie umocnienia w tej decyzji, a może i upewnienia, czy może wejść w nowy ustrój? Czy będzie przyjęty?

TRZECI LIST. — Dziewczyna ma lat dwadzieścia. Jest sierotą. Pracuje na PGR-ze. Ma za sobą może do 2—3 klasy, grzyzłoby bowiem straszliwie. O czymże ona pisze? Żyje od dwóch lat z trzydziestoletnim robotnikiem z tego samego PGR-u. Kocha go, a raczej, kochała go. „Od pewnego czasu zrobił się dla mnie bardzo niedobry, robi awantury, bije mnie. Chcę go rzucić, ale kocham go i nie wiem, co robić”.

Otóż kocha, czy kochała? Ma siostrę 13-letnią, która chodzi do 7-iej klasy i „ma bardzo dobre od góry do dołu”. Widac wyraźnie, że siostra to jej druga miłość. Rosnąca miłość. Dziecko wybitnie zdolne i pilne. Z

każdym rokiem rozwija się, mądrzeje i delikatnieje.

W tej miłości nasza 20-letnia pracownica PGR-u odnajduje nową miarę wartości i godności człowieka. Uczy się jak człowiek, rośnie jak i przez co nim się staje. Prostuję, jest bowiem i o tym wzmianka, to siostrzyzka nauczyła ją czytać i pisać. Nasza pracownica była alfabetką. A teraz porównajmy dynamikę dwu lat w dziejach jej ukochanego i jej siostrzyzki. Dzieje te skrzyżowały się i rozmięły. On awanturował się i bije. Siostrzyzka marzy o dalszej nauce. Dziewczyna pisze list do dawnej, starszej znajomej. Widzi w niej ta sierota naturalnego opiekuna, kogoś, kto utkwilił we wspomnieniach z czasu dzieciństwa, kiedy jeszcze żyła matka.

„Jak go opuszczę, to chciałabym znaleźć inną pracę, bo w PGR-ze to mi nie odpowiada i za mało zarabiam, abym mogła dalej uczyć moją siostrę. Czy dobrze czynię, że w tych warunkach chcę się przenieść do siostry, do miasta?”

Czy dobrze uczyni? Nie jest to jedyną rozwinięciem. Ale takie, jakie wymyśliła dziewczyna, podnosi ją jako kobietę.

Jej siostrzyzka stała się źródłem konfliktu miłosnego. Drugim, rozstrzygającym. Pierwszy, oczywiście, wywołało grubiaństwo ukochanego. Ale ten powód nie przesądziłby jeszcze sprawy. Złe byłoby ciężkie, wulgarnie, obsuwające się w treści i formie, ale trwałoby to wspólne życie. Dopiero siostrzyzka i perspektywa, jaką otworzył jej rozwój na to, kim może być człowiek — zastrzyły konflikt i odwrwały dziewczynę nie tylko od dawnej miłości, ale i od dawnego losu.

Martwa bierność została zrażeniem. Dziewczyna weszła w okres życia i pracy dla siostrzyzki. I razem z dalszym rozwojem siostrzyzki podnosić się w niej będą godność i doświadczenia nowego człowieka, robotnika nowej Polski. Dojrzeć w niej będzie bogatsze życie do nowej, lepiej ulokowanej miłości.

Wojciech Kodryń

PIOTR CHMURA

KSIĄŻKA W STUDNI?

WYOBRAZICIE sobie młodą nauczycielkę, która już od trzech pół lat pracuje w tej samej wsi. Wyobraźcie sobie, że na konkurs czytelniczy w ub. roku (zorganizowany przez ZSCh) zgłosiła z tej wsi 104 osoby, w tym 30 gospodarzy i starszych kobiet. Wyobraźcie sobie, ile tomów mogłoby zapisać, ile godzin opowiadać na ten tak pasjonujący krytyków i pisarzy temat: „Dzieci, młodzież i starzy czytają na jej wsi? Co mówią o książkach? O co pytają, o czym dyskutują?”

Wyobraźcie sobie wreszcie, że młoda nauczycielka o tym wszystkim do nas napisała. Ha, widzę już jak się obliżujecie w oczekiwaniu wspólnie uczyć duchowej.

Poczekajcie jednak chwileczkę, bez wstępu się nie obejdzie. Osoba nauczycielki Was nie ciekawi? „Któż jak nie nauczyciel, pójdzie z książką do wiejskich chat...”. Oto słowa naszej nauczycielki. Zapamiętajcie je. I nie krzywcie się, że jeszcze przypominają Konopnicką. Makarenkę również spotkamy. Od kogoś bowiem mogła zaczynać nauczycielka, jak nie od młodzieży? Ale na błąd, podrostków nad książką nie posiadzisz, w polu tym bardziej, w szkole zbyt oficjalnie. Nasz Makarenko wypatrzył, jak poszkolne dzieci zagrzeżdzą się w ogromnej, pustej kuchni podworskiej. W kuchni był wielki piec i ławy. Dzieci rozpalali ogień i słuchali „świerszcza za kominem”. Zaproponowała: zagramy sztuczkę, kupimy węgla, będziemy mieć co wieczór kominiek, poczytam wam ciekawe historie. Ogień na kominie wieczorem, to prawdziwa frajda. W jesienne i zimowe dni przesiadywała gromadka wokół pieca pod naftową lampą do 11 godzin w nocy. „Przenosiłmi się myślami i wyobraźnią na morze. Na morzu była burza, którą przeżywałmy wraz z Wawronem Toporkim i jego córka, Marysia. Albo śledziłmi pilnie i z ogromnym współczuciem ich losy na dalekiej obczyźnie...”.

Dla odmiany urządziła nauczycielka z dzieciarnią inscenizację fragmentów czytanych utworów. Jedną z nich była np. inscenizacja metod nauczania w dawnej szkole wiejskiej, według noweli Prusa „Antek”. Datą, jak widzicie, poemat — pedagogiczny. Tu się też kończy wstęp. I gdyby miał zostać tylko tylko dobre wspomnienie o naszej młodej nauczycielce, musiałby na tym wstępie poprzestać. Ale czytelniczka czekała na ciąg dalszy. Są pewni, że teraz będziecie się opowiadać młoda nauczycielko z pow. Brzesko.

Co mówią dzieci, młodzież i starzy o przeczytanych książkach? Jak się krzyżują i scierają ich opinie? A tymczasem... Donosisz wprawdzie, jak organizator, o tym, że młodzież z Koła ZMP urządziła wieczórki dobrego czytania. Że w tej akcji wyróżnił się Józef Gawlik, który zapiekiował się dwoma kolegami na kursie początkowego nauczania. A ci tsk zasmakowali w książkach, że go byli do dalekich wypraw, aby odnalazł zaszywaną powieść albo już poznane autora nieznanym im jeszcze utwor. Otóż ci zaawansowani, a było ich 20 — 30 osób, prowadzili „zawzięte dyskusje”, co ledwie stwierdziwszy już — młoda nauczycielko — stawiasz kropkę.

W podobnej akcji czytelniczo-dyskusyjnej odznaczyła się przewodnicząca Koła Gospodyń, Zofia Boder. Zbierała dziewczęta w swoim pokoiku

i czytywała z nimi książki. Jak to były dziewczęta, jakie książki, jakie dyskusje?

O, młoda nauczycielko! Znalazłaś sposób na starych. Zaciekałaś ich przez szkolne dzieci. I za ich pośrednictwem podsuwałaś książki starym gospodarzom i starym kobietom wiejskim. Te książki doprowadziły do waszej wzajemnej, bezpośredniej znajomości. Nawet wtedy, kiedyście się spotykali przygodnie na drodze czy w polu, podejmowali starzy chłopcy rozmowy o przeczytanych książkach. Ale nie potrudziłaś się, aby scharakteryzować tych pracujących chłopów, którzy dla książki znajdują czas i ochotę. Nie napisałaś,

Japonia wczoraj i dziś

(Dokończenie ze str. 1) czyż dżis Japonia. W samym Tokio ponad milion ludzi jest całkowicie, lub częściowo pozabawionych pracy. Pograżeni w nędzę Japonczycy sprzedają swoje dzieci do fabryk lub do domów publicznych. Dzieci od 6 lat zatrudnia się przy ciężkich pracach, placąc im 10 proc. tego, co otrzymuje dorosły.

W kraju szaleje inflacja. Obieg banknotów przekroczył nieznane dotąd rozmiary, sięgając 600 miliardów jen. Ceny nieustannie rosną, bo zanika produkcja pokojowa, bo główną jej część wywozi się do USA, pozostawiając ochłapy ludności japońskiej. W ciągu ostatnich dwóch lat ogólny wskaźnik cen wzrósł o 80 proc., a poziom płac nie ruszył niemal z miejsca. Ryż, główne pożywienie Japonczyka, jest o 25 proc. droższy niż w roku ubiegłym, ponad 30 proc. zarobku robotnika pożerają podatki, obrabane na utrzymanie reżimu terroru i na zbrojenia amerykańskie.

Więć japońska niszczycie. Miliony bezrobotnych to głównie obrzynni nadmiar sily robotczej na wsi. 40 proc. rodzin chłopskich uprawia działkę równą zaledwie połowie tsiobu (1 tsiobu = 0,9 ha), 53 proc. — działki o powierzchni od 0,5 do 2 tsiobu. Zaś 160 tysięcy bogatych chłopów i obszarników, a więc 2,5 proc. ogólnej ilości gospodarstw trzyma w swych rękach 40 proc. powierzchni uprawnej kraju. Podatki pożerają 45 proc. zbiorów. Resztę — przymusowe dostawy i lawinowe zwyżki cen na artykuły przemysłowe. Kiedy w r. 1950 ustalono cenę skupu na ryż w wysokości 5.200 jen za 1 koku (jeden koku równa się 180 kg.) okazało się, że urzędowo obliczony koszt produkcji 1 koku ryżu wynosi 5.470 jen.

Robotnik i chłop, cała pracująca Japonia płacą głodem i nędzą za gra-

LUCJAN WALAS

O MARYSINEJ OBÓRCIE

„Drukujemy autentyczny list inteligenta, pochodzenia chłopskiego, pracującego w Warszawie, na jednym z centralnych odcinków spółdzielczości. List skierowany był do siostry, mieszkającej na wsi. Listem tym chcemy zwrócić uwagę czytelników na ważną sprawę wzajemnych kontaktów rodzinnych pomiędzy tymi, co pracują na wsi a tymi, co odeszli do miast — do pracy produkcyjnej, na studia i w szeregi pracującej inteligencji. Zachęcamy czytelników do nadsyłania takich listów i do podjęcia dyskusji w sprawie wzajemnych kontaktów rodzinnych między tymi, co na wsi a tymi, co w mieście.

Redakcja.

Piszesz Marysiu tak:

„Mamy oboje z mężem do Ciebie prośbę. Czybys nam nie mógł wyrobić asygnaty na kilka metrów cementu? Jest nam bardzo potrzebny. Chcielibyśmy przystawić jedno mieszkanie, bo dzieci przybyło i podrosły starsze, a także jaką obórkę postawić, bo nie mamy gdzie chować więcej bydła i świń. A tu wydatki rosną i jak nie będziemy chować, to trudno będzie wystarczyć na okrywki i potrzeby domowe. Tu, u nas, materiału na budowę trudno dostać, a kumoterstwa w przydale nie ma. O ile możności, staraj się o to, a będziemy Ci bardzo wdzięczni.”

Droga Marysiu!

Oczywiście, asygnaty na cement Ci nie przysię, przekracza to moje możliwości. Ale gdyby nawet było to możliwe, nie skorzystałbym z takiej drogi przyjsia Ci z pomocą i chcę Ci wytłumaczyć dlaczego.

Przed wojną za rządów kapitalistów i obszarników o los milionów chłopów bezrolnych i malorolnych któz z nas i jak mógł dbać? Jeśli wykształcony syn chłopski, a takich było mało, dobrze wysługiwał się interesom obszarników i fabrykantów, mógł doradzić pomóc swojej rodzinie. Ale jeśli tylko odważył się wskazywać na wyższość wszystkich pracujących chłopów i stawać w obronie

wielu pokrzywdzonych zawsze spotykała go kara przez usunięcie z pracy, a nawet więzienie. Nkt wtedy Marysiu z przedstawiciel wladzy państwowej nie wnikał w położenie tysiecy chłopów, wędrujących na przednówku od dworu do dworu w poszukiwaniu zarobku i chleba. Mawiano wtedy: „Kto ma księdzka w rodzinie, temu bieda nie dobdzie”. A któz to był ci, który m.e.i księdzka w rodzinie? A no, bogacze wiejscy i handlarze, których stać byo na kształcenie dzieci, jak mawiali wykształceni synowie chłopcy na plebaniach, na posadach inżynierów, urzędników, lekarzy, czasami przedsiębiorców, wówczas — np. podczis strajku chłopskiego w 1937 r. — dołączali do zorganizowanych i niezorganizowanych „przyjaciół wsi” i bronili jej przed oszczerstwami. Nieprawda, to nie „duch Szeli”, to nie „komuna!” Taką pomoc dla wsi była jeszcze jednym szkodnictwem.

Kiedy wyszysk i nędza mas ludowych przekraczały już wszelkie „granice przyzwoitości”.

„Czy zapomniałaś Marysiu jak rokrocznie od 16 roku życia jeździłaś na roboty do Niemiec? W oczynicie dla Ciebie pracy nie było. Zarabiałaś wtedy nieco więcej niż w kraju, ale nie dlatego, żeby Ci tam więcej placili, tylko dlatego, że zyskiwałaś na przerachowaniu marki niemieckiej na polskie złote. A ponadto harowałaś przy akordowej robotcie od świtu do nocy i do dnia dzisiejszego nie masz zdrowia, które utraciłaś przy ciężkiej pracy dla obcych i wśród obcych ludzi.

Dzisiaj władza ludowa żyje nie tylko troską jak pomóc Marysiu w zbudowaniu obórki, ale przede wszystkim, jak rozwiązać sprawę wszystkich pracujących chłopów, aby im było lepiej. Podzielim Marysiu, taki stosunek władzy ludowej do sprawy chłopskiej.

Będę się bardzo cieszył, jeśli zbudujesz sobie obórkę, ale wiedz o tym że jeśli w naszym kraju nie zostały wykonane główne i najważniejsze zamierzenia Planu 6-letniego, który

Co słysząc u nauczycieli?

za i kronikarza myśli, jakie wschodzą na naszej, porewolucyjnej wsi w zetknięciu z literaturą.

O, młoda nauczycielko! W nowych warunkach przeżyłaś znany z „Szyfrowych prac” motyw przyjaźni. Tam korepetytor Kawka obcał Radka, fonałskiego wyrostka. Ty zapaliłaś w kilkunastoletnim chłopcu, Józefie Bacy, płomień żarliwej miłości do literatury. W domu źle widziano pożerającą go pasję czytania. Opiekę i wsparcie znajdował u ciebie. Tobie zwierzał się z trudności, „jakie napotykał w pogoni za wiedzą książkową”. I znów nam nie przekazałaś pamiętnika waszych rozmów i zwierzeń chłopca.

Ubiegłej zimy, kiedy zwerbowałaś do grupy konkursowej 104 osoby, przeczytałyście na zajęciach świetlicowych 20 książek. Jak to były utwory? Informujesz ledwie, że „różnych dziedzin”. Z jakich? Książki te opracowywałyście zagadnieniami, np. „Życie robotników w poznanych utworach”. Ile to głosów musiało paść, nim zagadnienie zostało rozwinięte. A takich zagadnień — tematów było wiele. Ale w twoim sprawozdaniu — młoda nauczycielko — więcej ani słowa.

U was w szkole dzieci już od III oddziału czytają książki z biblioteki. Prowadzą dzienniczki poznawanych autorów, które nauczycielki przeglądają co tydzień. I znów nie pomyślałaś o antologii tych dzienniczków. Nie wybrałaś ciekawszych zapisów dziecięcych, nie opatrzyłaś ich komentarzem o rodzinie dziecka, o życiu wsi i nie przesyłałaś do redakcji.

Szanujemy i podziwiamy twój trud organizatora. Ale czy można być organizatorem, bez wglębnienia się w treść życia, które organizujemy? Czy może być dla nas obojętne to wszystko, co rodzi się u tych, których organizujemy wokół książek? Przecież to na organizujemy, aby z siewu doczekać się plonu. Organizujemy, to znaczy planujemy i kontrolujemy we wzajemnej relacji siew z plonami. Dlatego trzeba zapisywać i upowszechnić doświadczenia z wielkiego frontu rewolucji kulturalnej, aby służyły one do podnożenia walki o nową kulturę na wyższym etapie w masach pracującego chłopstwa.

Przyjm te uwagi krytyczne — młoda nauczycielko — jako wskazówki i pomoc w twojej pracy nad rozwianiem na wsi czytelnictwa. Akurat przynosi Ci inspektorat w inną okolicę, do innej wsi. Zaczyniesz od nowa. Zaczynj więc, jak należy. Zaczynj od rozpoznania gromady, jej klasowego rozwarstwienia, jej aktualnych frontów walki. Pamiętaj, że czytelnik twój to bogaty osobowość, że jego życiorys wyrósł z historii walk społecznych. Odkryj to tefno w zapadłej wci. Uchwyc w twoim czytelniku szeroką przemianę i ucz się rozumić, o co u niego zohacza książka i co u nim doprowadza do spotkania z księzką, jaką i dlaczego?

PS. Rozmowa, jaką przeprowadziłem, nie jest prywatna. Nie tylko wiele miłych nauczycielek tak „idzie z księzką do wiejskich chat”. Zderza się to i starym, zdarza się wielu nauczycielom. Przeprowadziłmy w tej rozmowie szerszy rachunek sumienia. I w tej nadziei.

Tadeusz Orlewicz

Piotr Chmura

Lucjan Walas



Fot. WAF

niedbania i braki naszego kraju, ciągnące się od stuleci i opanac poręczenia uprzemysłowienia Polski — też wiesz. Buduje się Nowa Huta, od której niedaleko mieszkaższ i pewnie ją widziiałaś. Buduje się zapory wodne i potężne elektrownie, które mają oświetlić ciemną dotąd i zacofaną Polskę i dostarczyć Wam we wsi nieznaną dotąd energię elektryczną, która zasępowieć będzie pracę człowieka i stworzy warunki lepszego życia. Powstają Marysiu wielkie fabryki, huty, kopalnie, fabryki traktorów i samochodów, budują się wielkie mola portowe, dźwigi i doki okrętowe, nowe linie kolejowe, drogi i mosty.

Jak myślisz, czy na to wszystko potrzebny jest cement i ile tego cementu?... Jakim potrzebom w takich warunkach — dać pierwszeństwo? Pewne ilości cementu otrzymuje do dyspozycji Powiatowa Rada Narodowa, która musi się dobrze zastanowić, na jakie cele go przeznaczyć. Przecież w Waszym powiecie jest nie mało gospodarstw powstałych w wyniku reformy rolnej, które są pozabawione zabudowań, a nie tylko obórki. Gdyby Ci przyszło w tych sprawach decydować, na pewno dałabyś cement przede wszystkim na potrzeby wyższego rzędu, na te potrzeby, które teraz decydują o rozwoju całego kraju i których wykonanie wpłynie także na rozwój rolnictwa, a więc i na twój mają gospodarke. Dlatego z Warszawy przekazał na cement nie dostanież, a do powiatowej puli materiałów budowlanych dobijają się przy poparciu miejscowych organizacji politycznych i społecznych.

Mimo tych wielkich zadań, a więc i przejściowych trudności, jak to sama możesz osądzić, Rząd Ludowy troszczy się o Twój obórkę. Bo oto w ostatnich dniach grudnia ubiegłego roku Prezydent Rządu Ludowego podjął uchwałę, biorąc pod uwagę Twoje kłopoty z obórką. W uchwałę tej powiedziane jest między innymi tak:

„Część materiałów budowlanych (cegła, dachówka, papa i t. p.) zostanie udyżawiona na zaspokojenie najkonieczniejszych potrzeb wsi. Przewodzie się również zwiększenie produkcji materiałów budowlanych z surowca lokalnego. Nad rozdzielnictwem masy towarowej dla wsi i miast, dokonywanym na szczeblu województwa i powiatu czuwać będą rady narodowe.

Uchwała ta otwiera Ci drogę do uzyskania niezbędnego materiału na budowę. A jeśliby potrzebujących było tak wielu, że dla Ciebie nie wystarczy, to masz zostać bez obórki? Wcale nie. Mieszkaższ nad Wisłą na terenie obfitującym w gline.

Macie więc Ty i Twoi sąsiedzi surowiec lokalny. Marysiu! Ty o mnie pamiętaższ, wtedy, kiedy potrzebujesz kwitów na cement. A u w Warszawie moi koleży myślą, że moja siostra, dlatego, że ma ją szóstka pewnie tam na wsi przoduje w postępie. A mogłabyś. Przecież możecie przeprowadzić wspólną robotę: wymieść glinę ze ślimą i przy pomocy drewnianych skrzyniek ubić ściany, które jak dobrze wyschną, będą niemniej trwałe od cegły czy pustaków, z tą różnicą, że budynek będzie znacznie trńszy. Popelnianie błęd trzymające się kurczowo tradycyjnego sposobu budownictwa, wyłączenie z drzewa, cegły i cementu. Wtedy, gdy w kraju prowadzi się wielkie inwestycje przemysłowe obliczone na podwignięcie całej gospodarki narodowej na wyższy szczebel rozwoju, macie pretensje, że tych właśnie najbardziej potrzebnych na ogólnie ce społeczistycznego budownictwa materiałów nie dają wam tyle, ile byście sobie życzyli, a Polsce Ludowej i sobie samym nie umiecie pomóc przez lokalną inicjatywę i wykorzystanie różnolności, jak e wynikają z miejscowych warunków.

No, więc buduj, Maryska, te obórki i chowaj dużo świń, abymy tu w Warszawie nie narzekali z powodu słabego zaopatrzenia w mięso i tuszeczki.

Gazetka gminna

O dyrektorze, który zapomniał...

SKARZYŁ się w gabinecie dyrektor PGR Starkowo pow. Stargard Fonrobert, ręce rozkładając: „Ludzi do pracy nie ma. Co się kogo ścigacie — ucieka, nawet robotników sezonowych utrzymać nie można...” — i naprawdę bardzo nam go było żal, taki uprzejmy człowiek i takie ma kłopoty.

Ale to było u dyrektora w gabinecie.

A wśród ludzi? W stołówce robotnicy pokazują nam suchy chleb i kawę bez cukru... Kucharka w brudnym fartuchu zapowiada na obiad kartofle i kartoflanke.

Świecili nie ma, przerwano budowę łaźni, nadeszły gumowe piaski — rozebrali je między siebie pracownicy biurowi, niekórzy brali po dwa, widocznie przy biurkach „nie-możebnie” leje. Na narady robocze, które zresztą należą do rzadkości, robotników sezonowych nie zaprasza się.

A to wszystko kluje tym bardziej w oczy, że robotnicy mają przecież pod nosem sąsiadnie, przykładowe



zespoły: Bytowo, Grabowo, Suliszewice, które polepszają ustawicznie warunki życiowe załogi.

Ale to wszystko dzieje się wśród ludzi, a dyrektor Fonrobert żali się na fotelu w gabinecie i jakos z tego miękkiego siedzenia dojrzał nie może ani suchego chleba, ani zamkniętej świecili ani „rozdrapanych” piaski ani stu innych większych i mniejszych ale zawsze palących zagadnień, którymi żyją robotnicy Starkowa.

Szkoda, że dyrektor Fonrobert zapomniał... że sam był jeszcze niedawno robotnikiem. Najwyższy czas mu o tym przypomnieć.

Stanisław Klimek

Miarka sprawiedliwości



sa nie pociąga taka procedura. On ma prościej i lepsze sposoby. Myślenie może, że przydziela towary tak na oko — na chybił trafił? Co to, to nie!

Nasz soltys ma ścisłą i nieomylną miarkę, którą szacuje ludzkie potrzeby — tą miarką jest „ciwiarka”.

Nie zbywa mu więc na alkoholu, bo kto mu ciwiarki nie postawi tego z listy skreśla. A że najbardziej, czyli najbardziej potrzebujący ciwiarki postawić nie mogą, więc towar idzie do rąk bogaczy. W tym miejscu nałóg soltysa przestaje być jego osobistą sprawą i staje się problemem toczącej się walki klasowej. Wydaje mi się kochana Gazetko, że przeciwalkoholowa kuracja pewnych soltysów i prezesów komitetów członkowskich dobrze wpłynęłaby na pracę aparatu administracyjnego i spółdzielczego w terenie, tam gdzie on jeszcze się zaczyna.

Maria Skórczyna

„Straszna dwunastka”

W dużych miastach, jak slychać, porządni ludzie wzięli się do zwalczania chuliganów, czyli jak ich tam nazywają, bikiniarzy i banantów. A jeśli chuliganstwo jest plagą w dużych miastach, to pomyślcie, co dzieć się musi w takich małych miasteczkach jak nasz Bodzentyn. Tutaj jak chuligan wrażeń na jednym końcu miasteczka, to na drugim szychy drzą, a straż ogólna szychuje beczki i pompy. Dlatego choć nasi chuligani nie noszą fryzur à la mandolina, nie przeszkadza im to zakasować pod każdym innym względem wszystkich bikiniarzy warszawskich razem wziętych.

Najwięcej wstawia się banda chuliganów rekrutujących się spośród wykołojonych potomków tzw. gulonów, czyli przedsiębiorców małościastkowych, zwana u nas popularnie „dwunastka”. Ofiarą jej padły bowiem dwa główne obiekty kulturalne, chluba naszego starego i czcigodnego Bodzentyna — liceum pedagogiczne i kino otwarte z wielką pompą i nadzieją 1 maja ub. roku. Chuligani nasi zanętkowali bezapelacyjnie kino zaraz po jego otwarciu i uczynili je miejscem swych becznych popisów. Gwi-



zdanie, cmokanie, wycie i tupanie to tylko niektóre „ładniejsze” z wyuczonych, którymi nas uraczają. Oczywiście, strasza „dwunastka” nie ogranicza się tylko do efektów, że tak powiem, dźwiękowych. Pod koniec seansu obraz filmowy znika zazwyczaj za kłębami dymu papierosowego, przypominającego chmury nad Bikini. W ten sposób nasze jedyne kino jest nam gruntownie obrzydzone.

Najbardziej tragicznie ma się sprawa z naszymi dziewczętami, które w ogóle boją się pokazywać w kinie, gdyż kilkakrotnie były przedmiotem ohydnych napaści ze strony wyżej wspomnianych bikiniarzy. Mało tego. Celem ataków straszenia „dwunastki” stał się także internat żeński liceum pedagogicznego. Panuje tu stan obłężenia. Bikiniarze uniemożliwiają uczniom wychodzenie na kolację. Nawet całe pedagogiczne nie czuje się bezpieczne, gdyż były czynione próby napaści i na profesorów.

Z tym „terrorem” chuliganów musimy skończyć. To hańba dla Bodzentyna, by banda smarkaczy zatrzymała życie całego pracującego miasteczka i zakłócała funkcjonowanie takich szacownych placówek kultury jak nasze kino i pedagogium. Bo jak sami widzicie, pedagogowie i to na miarę Makarenci, koniecznie nam w Bodzentynie potrzeba.

Jan Skalski

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

W ŚWIE TLICY

Przyjechał prelegent do Trzniewa, a w Trzniewie o jego prelekcji dotychczas nikt nie wie, powinien coś wiedzieć o. Józwiak, sekretarz, lecz nie ma Józwiaka, ni niego się czeka.

Ob. soltys powiada — ja ręce umywał, bez mojej się wiedzy ten odczyt odbywa, ja zawsze najchętniej te sprawy złatwiam, lecz mnie pominięto, więc wszystko się gmatwa.

Szukają, pytają, kto by to widział co, i kto jest w ogóle prelekcji tej sprawca? Znalazł się ów wreszcie, co widział i słyszał, ktoś sobie przypominał, że odczyt jest dzisiaj.

Stańło przy wejściu coś ludzi ze czworo: Świeclica zamknięta, klucz zginął przedwczoraj, czy zginął, czy też go w kieszeni ktoś nosi, a może ob. Józwiak klucz zabrał i poszedł i poszedł, pojechał i nie ma Józwiaka.

Prelegent się kręci — powiada ktoś „draka”, co będzie, co będzie z odczytem tym w Trzniewie? Już wieczór zapada — już gwiazdy na niebie.

Nie wiedzą co począć ni miedzi, ni stary, lecz nadszedł przypadkiem Koperek towarzyszy. — Ze nie ma Józwiaka? — Ze nie ma afisy? Prelegent pod drzwiami, na gwoździu klucz wisł.

Wnet wici pobiegły od chaty, do chaty, Koperek się troi, on czasu nie traci. Już zdjął klucz z gwoźdźca, już z cieniem świeclicy, snop światła wybiega ku wiejskiej ulicy.

Słuchają ciekawie, a ten i ów zerka z podziwem na postać dzielnego Koperka. Ot — szczęściem dla Trzniewa zjawł się Koperek, i odczyt spóźniony wygłosił referat.

Krowa i przemowa

Przychodzi do mnie soltys i powiada, że z całej wioski ja jeden zostałem delegowany z moją krową, że to niby hodowałem ją inaczej niż reszta chłopów i na ładną sztukę wyrosła. Nie było daleko z naszej wioski do Rokicin, gdzie to wielkie zebranie z wymianą doświadczeń miało się odbyć, więc krowę wzięłem na postrońce i skoro świt wybrałem się w drogę. Idę i myślę: na takiej wymianie doświadczeń sami przedni hodowcy się zbiorą, każdy na pewno coś ciekawego powie. A że mnie mówca żaden. Owszem, piękna moja krowa, lśniaca sierść, duże wymiona...

Idę tedy i myślę. Powiedzieć o dojeniu?... Od tego pewnie zaczęły Stasiak Matera z Pcpielów, bo jego krowa daje prawie 26 litrów dziennie mleka. Może o żywieniu?... Chyba Mateusz Takuła z Łaznowa będzie o tym opo-



wiedział, bo on według norm pasie, ma w domu tabele żywieniowe, gdzie wpisany jest rodzaj paszy i ile w niej znajduje się białka, tłuszczu, węglowodanów i bionnika. A może o zimnym wychowie? Ale w samych Rokicinach soltys jest mistrzem od zimnego wychowu.

Idę tedy i myślę: Po co mam czekać, pierwszy wystąpię do głosu. Ba, ale nasza wieś na piątym dopiero miejscu stoi w gminie. Nie dopuszczaj mnie wcześniej.

Już byłem blisko Rokicin, już widziałem moc chłopów i nie mało wiele krów. Strach mnie obciał i honor się odezwał. I co powiecie? Krowa tylko ryknęła, jużśmy z powrotem wracali do domu.

Podaję ten fakt do Gazetki, bo mnie Matera i Pakuła zobowiązali do samokrytyki dla przykładu.

Maciej Kobiera

WOJCIECH DRYGAS

Wielka głowa

PO komunikacji dziennika wieczornego pan Kwiatkowski w radosnym nastroju zgasił czerlampowy radiodbiornik.

Znajac rodzinna wieś Szczerbie, jak własną kieszeń, ocenił jednym rzutem oka sytuację i... w chwilę potem znalazł się u sąsiada — matoroelnego Jarzabka.

— Sprzedalibyscie mi, sąsiedzie, tuczniaka? Jarzabek, który był winien panu Kwiatkowskiemu jeszcze sprzed dwóch lat 22 dni odrobku, lecz mając obecnie pod nosem piękny osrodek maszynowy, nie kwapił się wcale kwitować długu — zmrzurył w niepokoju swe kółkowszczyk oczy.

Ale zanim ochłonął z pierwszego wrazenia, bogacz już szeroko wyluszczał szczegóły. Sprawa musiała być rzeczycie ważna, jeśli w każdym zdaniu coś „podkreślał” i „reasmował”, coś tajemniczo mierzyl w powietrzu palcami, zmuszając Jarzabka coraz częściej do mruzenia powiek. W końcu Jarzabek zrozumiał, że nieprawda jest, jakoby świnię pana Kwiatkowskiego daly w swoim czasie same „nura” do miasta, same się tam bezcennieści pościartowały i (o dziwo!) same rozspierały pokątnym spekulantom i kombinatorom — lecz jest rzeczą sprawozną i godną uwagi, że padły zwyczajnie w chlewie na rózycę, pograżając tym samym w nieulonym żalu bogacza i jego zacną rodzinę.

— Ale — jak wynikało z dalszego toku zwierzeń — pan Kwiatkowski jest człowiekiem mocnym. Oparł się przeto niezwłocznie jak opoka, postanawiając niezwłocznie przystąpić do zakładania nowej, wzorowej hodowli. Interes państwa wymaga, aby zaczął od gotowych już tuczniaków, bowiem prosięta rosną — jego zdaniem — zbyt wolno, a on uczynił ślub, żeby dostawił wkrótce na sped nie mniejsze sztuki, niż te, które uchował, nim je rózycy zjadła, czyli takie 300-kilowe.

— Cena? Złotówkę, sąsiedzie, do każdego kila dolożę powyżej państwowego ceny. Trudno, mój obowiązek — moja strata.

Tegoż jeszcze wieczora budził pan Kwiatkowski potężnym kopniakiem dwa spore świniaki w komórze średniorolnego Augustyniaka, całe pół godziny mityżyl w chałupie Brodnia-kowskiego, który wyciągnął z szafki butelczynę nalewki dla opicia interesu.

Nie upłynęły dwie godziny, kiedy rczbudzony łomotaniem w okno kierownik miejscowej grupy hodowców Maciaszczyk, wyskoczył w białźnie do drzwi:

— Ki diabeł? — To ja, Kwiatkowski! — zapięło wesoło ze dwora. — Otwierajcie, chce kontraktować tuczniaki!

— Teraz, w noc? — Na kontraktację każda pora odpowiednia. Nie mam racji? Mam! Interes narodu, że tak powiem, tego wymaga. Musimy łamać trudności! Już ja to dzisiaj skalkulowałem z ołówkiem w ręku. Nie wierciecie? To patrzcie jak ja to sobie chwytałem, dla siebie nie, ino dla państwa...

— Ile kontraktujecie? — przerwał chłodno Maciaszczyk.

— Siedem sztuk!

Nastąpiła wymowna pauza, podczas której obaj spoglądali na siebie. — Bo ja, widzicie, postanowiłem zdobyć jakiś order. Jedni pierwsi w skupie zboża, a ja, że mi nie obrodziło w tym roku, chcę zostać przodnikiem w hodowli. Ładnie pomyślane, co?

Na drugi dzień, kiedy Kwiatkowski wicł na sped do Rawy Mazowieckiej siedem tuczniaków — w Szczerbie wzbuchł skandal. Z ranna pocztą przywieziono do wsi gazety, a w nich uchwala Rządu w sprawie nieniesienia przez państwo pomocy hodowcom trzody chlewnej, w myśl nowych, korzystnych dla rolnika warunków kontraktacji, dopłata 1.20 zł za kg, metr śrutu i trzy węglę od sztuki.

Tym razem nie dosięgła tuczniaków pana Kwiatkowskiego, „rózycy”, dosięgła natomiast jego własnej osoby — prokuratura. Wojciech Drygas

JÓZEF KOSICKI

O tych, co mieli trudności

ZBYT mało pisaliśmy w okresie akcji skupu zboża o trzeciej grupie, jeśli za pierwszą przyjmując tych, co wywiązali się w całości, a za drugą tych, co stawali świadomy opór, co wicherzli i spekulowali.

Do trzeciej grupy zaliczyć należałoby tych, co mieli rzeczywiste trudności w wypełnieniu obowiązku sprzedaży. W czasie akcji nierządno mierzalo się w ocenie tej grupy z grupą świadomie zlekających i świadomie opierających się.

Ale wzdłuż paromiesięcznej drogi skupu zboża rozwijał się równoległy szlak prac komisji nad skargami i odwołaniami. Zespoły powiatowe i gminne przez swych agitatorów oraz rady narodowe badały bezpośrednio położenie gromad i każdego z osobna gospodarza. Nie zawsze podanie spotkało się z pozytywną oceną, bo nie zawsze pisał je ten, któremu należało dać ulgę.

Ale ileś ulg i umorzeń, jakie przy-

nieśli w teren rady i zespoły przewy-

szczyła kilkakrotnie ilość wszyst-

kich pismenych podań.

Warto wejrzeć w tę trzecią grupę. Kiedy wystąpiła wprawdzie przemijająca ale aktualnie groźna trudność losowe (choroba, upadek inwentarza, pożar, klęska żywiołowa itp.), wówczas trudniej zachować postawę obywatelską, trudniej utrzymać równowagę i jasność widzenia. Tak też najczęściej uogólniliśmy postawę ludzi z tej trzeciej grupy, z góry już rozgrzeszając. Ale o tyle właśnie wyrażaliśmy jej krytykę. Nie doszli chłopcy z tej grupy do Krzyżów Zasługi, do dyplomów, do wyróżnień. Nie mogli dojść. Nie byli pierwsi, nie oddali pełnego wymiaru.

A jednak i w tej grupie — wcale nie słabiej — w wielkich miesiącach skupu krzpeł nowy, socjalistyczny patriotyzm.

Warto sięgnąć do listów nadsyłanych do masowych pism wiejskich. Jak w zwierciadle ujrzymy w nich więcej, niż odbicie postaci. Odbity się w tych listach myśli i uczucia chłopów i chłopek, obciążonych aktualnymi trudnościami.

Pięknie to często myśli i uczucia.

Tak oto pisał pod koniec października były komornik, który otrzymał z reformy rolnej 5 ha i 20 arów w sieradzkim.

„Pontostem od tego czasu tyle wypadków, jakich by inny nie zmłot. Padło mi pięć koni (co roku), dwie krowy i cztery świnki. Mam na utrzymaniu osiem osób. Do sprzedaży wypadło mi 13 q zboża i 10 q kartofli. Odstawiłem już 10 q żyta i 4 q kartofli. Za otrzymane pieniądze

spłaciłem 900 zł podatku na 1.106 zł, jakie na mnie przypada. Co dalej robić? Zakontraktowałem 10 arów buraków cukrowych, 15 arów jęczmienia, 2 świnię na 1952 r. Nie składam rąk, ciągnę, bo jestem silnie przekonany, że planowy skup zboża i ziemniaków jest w naszym kraju potrzebny dlatego, aby już kulak i spekulant nie żył z sił chłopca. Bo wiem, że jak odstawię państwu, to nie wzbogaci się kulak ale nasza Polska Ludowa... A tu chodzi pełnomocniczką i mówi musowo wszystko oddać. Tak mnie to boli, że nie mogę przez te klęski i dużą rodzinę wydatka więcej i stoję w gminie w jednym szeregu z draniami, kulakami i wrogami robotników. Kochana Redakcjo, pomoż mi zetrzeć tę plamę!”

W kilka dni potem autor tego listu mógł już sam zetrzeć „plamę”. Zakontraktowane 2 tuczniaki wyrównywały brakujące zboże.

Przeżyłajmy inny list.

„Piszę wo Keaukcji pod nieobec-

ności meża. On jest przodownikiem we weterynarii, i nie ma ani i nocy, aby nie szedł z pomocą do zwier-

zę. Wies nasza oddalona jest od weterynarza o 12 km, to ma mój mąż co robić w okolicy. To jest praca dla społeczeństwa, bezinteresowna. Na dodatek nie zwolnili go z pracy szarurkowej (25 dniówek), tak że w tym roku był gościem w domu. I na moje siły spada gospodar-

ka. Jest na czym pracować—10 ha. Tylko, że o 4 km od domu. A w tym roku prócz posuchy, chwycił wiosną mróz. Więc choć 105 m na skup zboża nie jest zbyt dużo ale przez to wszystko jest nam ciężko. Na 3 ha pszenicy komisja gminna już w czerwcu zapowiedziała, że będzie odliczone w ostawie zboże, a jak się okazało ani jednego cetnara nie odliczyli.

Mój mąż szarpie tylko wasa i milczy. Ja wiem, co on myśli a czego nie mówi. On chce, abym wszystko odstawiła. Ale nie mówi, bo wie, że wiele w gospodarstwie nie „obit”, tylko ja, przy małych do tego dzieciach (dwoje). I wie, że tu idzie też o przyszły rok. Trzeba więcej jeszcze wyciągnąć z ziemi, jak w tym roku. Odstawiłam już 7 tuczniaków, a 2 jeszcze oddam do gwiazdki. I o to mnie boli głowa. Mąż, taki społecznik, nie pójdzie do Rady przedkładać i tłumaczyć. On taki jest. Mówi, że to zły przykład. Dlatego do Redakcji piszę, abyście mi poradzili, jak honor meża utrzymać teraz i na przyszły rok? Czy w wypadka pisać jeszcze raz podanie względem tych 3 ha, zniszczonych przez mróz? Czy można bez

wstydu zatrzymać zboże na siew wiosenny? I czy z tych tuczniaków przystępują od lipca 2 cetnary zboża zwolnienia na każdą sztukę?” (pow. Ostrow).

Jeszcze jeden przykład.

„Jestem wdowa, mam 70 lat, dwóch synów. Jeaan jest umysłowo chory, a drugi ma się trochę lepiej. Na 5 ha z reformy rolnej mamie nam idzie gospodarstwo dlatego, że nie mamy swego konia do pracy, ani chlewa i stodoły, tylko szopkę przystawioną do domu. A to wszystko, że jeden syn nie nadaje się do pracy, drugi ledwie, a ja — stara. Klasyfikacja ziemi u nas źle wyszła, dostaliśmy więc 7 ha przeliczeniowych. To się, jak slyszę, poprawi w przyszłym roku. I nie o to mi idzie. Ze zboże trzeba sprzedać naszemu państwu ludowemu, to ja wiem i poczuwam się. Ale Gminna Rada tyle mnie naznaczyla, co innym gospodarzom do brze z a g o s p o d a r o w a n y m. To jest z krzywdą dla mnie nie tylko życiową ale i obywatelską, bo jak trójka u mnie była parę dni temu, 15 sierpnia, to mi powiedzieli — państwo o na j p r z o d. A jak nie wydalom temu, to znaczy, że u mnie państwo nie najpierwsze. W tym mnie skrzywdzili. Chodźl mój syn do Gminnej Rady, bo to 17 km, powiedzieli, że tak, jak jest, musi być. To ja się pytam Redakcji, czy siewy wiosenne, jak owies i jęczmień należy zatrzymać? Jak Redakcja uważa? Jak powiecie — nie, to oddam, a wiosną mi chyba w spółdzielni sprzedażę” (woj. lubelskie).

Cytowane listy mówią, że ci, co mieli rzeczywiste trudności, przeżywali je niejednostronnie. Troška o zabezpieczeniu rodziny i inwentarza łączyła się u nich z troską o państwo, o całokształt gospodarki naszej ojczyzny. Przeżycia tych ludzi były złożone. Powstał prawie zawsze konflikt pomiędzy „dla mnie” i „dla narodu”. Tym boleśniejszy, że wnikły z obiektywnych, choć indywidualnych trudności. Bolało ich jedno i drugie. Stąd te pogłosy o zagrożonym honorze, o wystydzie przed zaszczerogowaniem do urągów robotników.

Przykłady podane wyrażają wymownie tę walkę i zmagania wewnętrzne. Wśród wielu innych tysięcy przebiegały one mniej jasno, bardziej zagmatwane, ale przebiegały. Dlatego raz jeszcze trzeba wspomnieć o pracy komisji, (acz szeroko rozwinęły ją dość późno) które nosząc masowe ulgi i umorzenia, zdjęły w olbrzymiej większości u tych chłopów, co mieli rzeczywiste trudności, nie tylko jedną, ale i drugą troskę. Józef Kosicki

JAN JELONEK

Premia korespondenta GUS-u

BYLEM jeszcze kawalerem, gdy pewnego razu w roku 1951 przyszedł do mnie instruktor rolny Gaobiel Sternik i zapropnozował mi współpracę z Głównym Urzędem Statystycznym.

„Będziesz — powiada — korespondentem rolnym”. To znaczy, że co miesiąc przysyłasz do GUS-u do Warszawy, sprawozdanie na formularzach, które ci listonosz przyniesie. Praca ta nie jest płatna, ale od czasu do czasu mozesz otrzymać jakąś premię. Najważniejszym jest jednak to, że będziesz mógł dowozć się w różnych kierunkach produkcji rolniczej”.

Nie namyślałem się długo, od razu wyraziłem swą zgodę. I tak stałem się korespondentem GUS-u. Po pewnym czasie otrzymałem legitymację i druki sprawozdań do wypełnienia. Pierwsze sprawozdanie wypełniłem z nabożeństwem i wielkim namysłem nad każdym pytaniem, a pytań tych było dość dużo. Główny Urząd Statystyczny był ciekawy, jaka była u nas pogoda w ubiegłym miesiącu, czy pomogła lub zaszkodziła w procesie rozwoju roślin. Czy ukończono prace w polu i z jakim wynikiem. Jaki jest stan roślin, jakie ceny i wiele tym podobnych pytań. Odpowiedzi na te pytania nie były trudne, ale wymagały ciągłej obserwacji, czasu, a nawet notatek. Stopniowo jednak ułożyłem się tak, że mimo woli zwracałem uwagę na wszystko co mnie otaczało i co się we wsi działo. Duża w tym pomagało mi piśmko wydawane co miesiąc przez GUS pod tytułem „Wiadomości Korespondenta rolnego” mieszczące na swych 12 do 16 stronach bardzo wiele ciekawych i na wysokim poziomie będących artykułów z zakresu statystyki, klimatologii, produkcji i wiadomości ze świata. Oprócz tego pisma otrzymywałem corocznie kalendarz korespondenta rolnego będący matym ale cennym podręcznikiem dla rolnika. Jednym słowem za tę odrobinę pracy raz czy dwa razy w miesiącu miałem dużo zadowolenia i korzyści w postaci cennych wydań, które nie były do sprzedaży na rynku księgarskim, a bardzo poważnie wpłynęły na poszerzenie mojego kręgu zainteresowań i wiadomości. A gdy po sześciu latach współpracy otrzymałem brązową odznakę korespondenta rolnego, to uważałem, że GUS za wysoko wynagradza swych korespondentów. Prawda, że te miaturowe prace poszczególnych korespondentów zebrane razem tam w Warszawie dawaty pewien obraz gospodarki rolnej w kraju, ale wysiłek poszczególnego korespondenta był prawie żaden.

Tak trwała moja współpraca do wybuchu wojny. Wojna jednak młnęła a pamięć o GUS-ie została. W roku 1926 na pierwszy apel Głównego Urzędu Statystycznego zgłosiłem się powtórnie do współpracy.

W wolnej Polsce Ludowej współpraca z GUS-em nabrała rozmachu. Pracy było odrobinę więcej, gdyż trzeba było dwa a czasem i trzy sprawozdania wysyłać miesięcznie. Dodatkowo dochodziły sprawozdania fenologiczne dwa razy do roku i sprawozdania gradowe w wypadku gradobicia. Zakres zainteresowania GUS-u stał się większy i wprowadzał korespondenta w głębiej położone problemy życia gospodarczego i przyrodniczego wsi. Zadolenie stało się pełniejsze. Czulem, że każde moje sprawozdanie ma pewną wagę i starłem się wypełniać je jak najstarszej, aby dobrze przyłużyły się naszej Polsce Ludowej. Współpracując nie liżyłem na żadne cenne premie, wystarczało mi to, co był przed wojną, to jest pismo „Wiadomości Korespondenta Rolnego” i kalendarz, jaki co roku otrzymywałem. Tymczasem stało się inaczej.

W końcu 1949 roku otrzymałem na gwiazdkę 6 książek z zakresu wiadomości rolniczych, a mianowicie: „Uprawa wierzby”, „Walka z chorobami i szkodnikami roślin”, „Co rolnik o krowie wiedzieć powinien”, „Jak żywić zwierzęta gospodarskie”, „Chów świń” i „Ziemniaki”. Jednym słowem od razu posiadłem małą kopalnię wiedzy, opracowaną przez najlepszych współczesnych naukowców. Zobowiązywało mnie to do jeszcze dokładniejszego wypełniania dobrowolnie przyjętych obowiązków.

I byłbym się ze swego zobowiązania wywiązał, gdyby nie choroba i związane z nią leżenie w szpitalu i sanatorium. Pół roku przerwy to nie bagatela w ciągłości pracy sprawozdawczej. A jednak w końcu roku otrzymałem znów paczkę zawierającą pięć książek, z których cztery były rolnicze a piątą wspaniałą powieścią historyczną W. Niekrasowa „W okopach Stalingradu”. Cenny ten dar dla mojej biblioteki wrzucił mnie. Było w tej premii aż nazbyt widoczne, że obecnie władze GUS-u nie tylko starają się pogłębić wiadomości swych korespondentów i nagradzają ich za pracę, ale starają się dać im maksimum zadowolenia z wyników tej współpracy.

I znów minął rok jak z bata strzelił i zanim się obejrzałem przyszedł

grudzień a z nim nowa gwiazdka GUS-u. Tylko, że teraz była to duża paczka i dość ciężka. Byłem w pracy, gdy listonosz przyniósł paczkę. Cała rodzina asystowała przy jej rozpakowaniu i cała jej wartość szczegółowo obejrzana, złożona została na stole. Gdym uszedł wieczorem do mieszkania, od razu rzucił mi się w oczy stos książek.

Czego tam nie było: „Cichy Don” 4 tomy, „Kwiatnaca Ziemia” — W. Safonowa i „Daleko od Moskwy” W. Azajewa i jeszcze sześć książek rolniczych i to przeważnie dzieła największych radzieckich pisarzy, jak Ożierowa, Osieczajskiego i innych. Jednym słowem 10 tomów oprawnych, liczących razem 3650 stron druku.

Patrzę w zamysleniu na ten stos książek bogatych i pytam sam siebie. Za co ja dostawałem taką cenną gwiazdkę? — Czyżby moje drobne wysiłki przy opracowywaniu sprawozdań miały tak wielką wagę przy budowie tam, w Warszawie, wielkiego gmachu badawczego gospodarki krajowej? Czy też może jest to dowód wielkiej troskliwości władz ludowych o podniesienie kultury zaojcowanego rolnika polskiego. A może...

— „No, czego się tak patrzysz na te książki? w zamysleniu — powiada mi żona — wszyscy się cieszą a ty się zamyslił!”

„Zamysliłem się, mamuś, bo ten królowski dar dla chłopca na wsi, to wyraz wielkiej dobroci i serdecznej troskliwości Rady Polski Ludowej o jego obywateli. O takim darze przed wojną ani marzyć nie mogłem”.

Najmłodszemu synek, Staś, schwytał jedną z książek i podając mi ją powiada: „Tata, masz”. „Tak, synku, podajesz mi teraz tylko książkę pod tytułem „Kwiatnaca Ziemia”, ale ty doczekasz się, że pod takimimi troskliwościami rządami socjalistycznymi, cały nasz kraj zmieni się w taką właśnie — „Kwiatnącą Ziemię”.

*

Korespondentów Głównego Urzędu Statystycznego obecnie jest dużo, ale każde szczere zgłoszenie i każda rzetelna współpraca GUS przynosi z wdzięcznością. Adres tego przemilgowanego urzędu jest: Główny Urząd Statystyczny, Warszawa, ul. Wawelska nr 1/3. Jan Jelonek

Redakcja naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redakcja Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wileńska nr 12 tel. 752-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 1
Prenumery i kolportaż: P. P. K. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 494 20 do 25
Tel. Red. Narz. 727-85 Tel. Redakcji 751-80 do wewnętrzny 91. 53
REDAKCJA NIE ZAMOWIYCHY REKOPISOW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeracji:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,—; zł; rocznie 36,—; 24
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6812/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.”
RSW „PRASA”, Warszawa, Maiszaikowska 3/5 3-B-10812